



ANDRZEJ KRZYSZTOF WRÓBLEWSKI

ZACHWASZCZONY OLIMP

czyli

jak padają okopy Świętej Trójcy

Ostatnie pociągnięcia cyklinga, wóz z meblami: już czeka w ogródku. Pan Roman prostuje zgrabiałe palce i kredą pisze na swoich, nareszcie swoich drzwiach (choć to już czerwiec) „K+M+B 1959”. Zeby od razu dom był zasiedlony. Wnosi meble, rozstawia i jeszcze tego samego dnia, zamiast pić wódkę z radością, małuje na zielono parkan. Włęcz to już. Złapał Pana Boga za brodę.

Włęcz to już. Tutaj, w tej okolicy, gdzie nareszcie stał pewną nogą, jeszcze przed wojną spotykały się marzenia jego i wielu jemu podobnych. „Budkę z wodą sodową, ale własną” — taka była dewiza mejednej rodziny łódzkiej biedoty, młotanej zimnymi wiatrami kryzysów, tęskniącej do najluchszego chlochy azylu, nie zawsze orientującej się w marzeniach właściwym kompasem. Tutaj, na Julianowie mieszkali ludzie pewnie wrońcy w grunt, tutaj był szczyt. Prosilili dyrektora tramwajów, żeby kazał zalepić okna w wagonach

wiozących ich do domu: przejeżdżając przez obskurne Bałuty musieli zamykać oczy. „Mieszkać tam, patrzeć na nędzę przez zalepione okna!” — wzdychało baluckie pospółstwo.

I oto po latach panu Romanowi udało się złapać Pana Boga za brodę. Kupił działkę przy Alei Róż i postawił się w rzędzie jednakowych piętrowych domków z ogródkiem. Jego sąsiedzi: magazynier, taksówkarz, szewc, krawiec, cukiernik, kierownik skła i węgla. Najważniejsze już mają, teraz aby tylko dzieci trochę podkształcić i w następnym pokoleniu nikt w nich nie pozna intruzów.

Zostawili za sobą wszystkie tamte, łódzkie sprawy, a przysłali tu, na margines. Tutaj,

Dokończenie
na str.
7

Fot. Eka

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

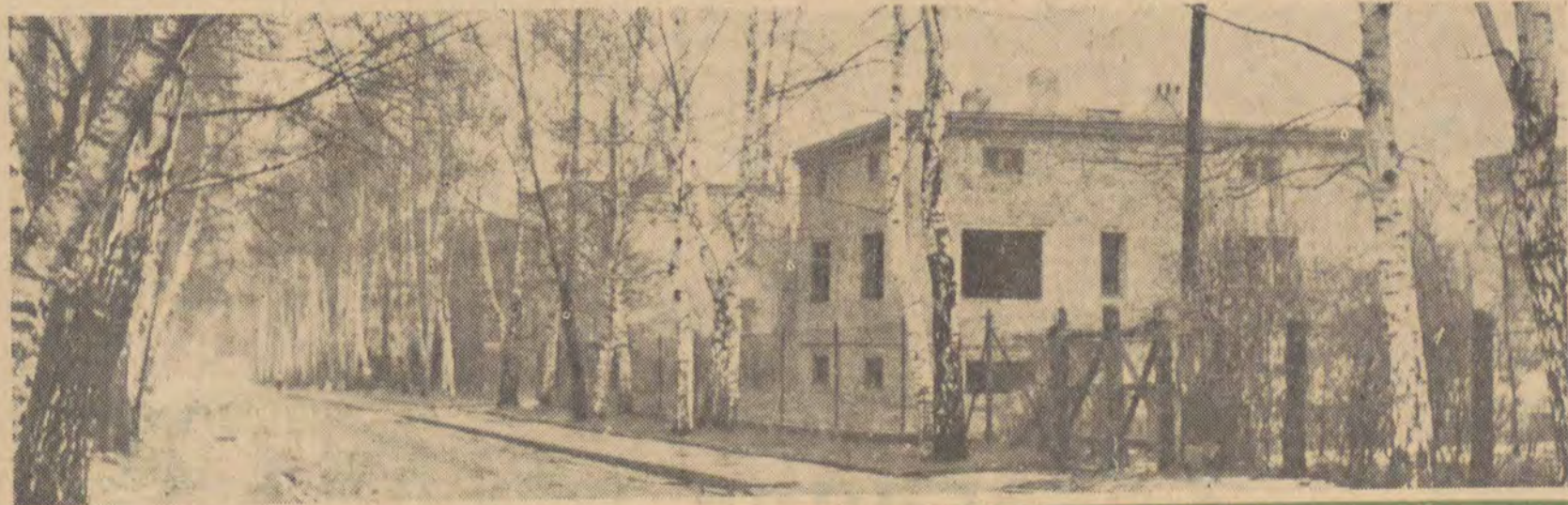
Rok V, Nr 14 (214)

Łódź, 8. IV. 62 r.

Cena

1 zł

MARIAN GAMSKI JAKO „HANNIBAL” W „DRODZE DO RZYMU”
RECENZJE ZAMIESZCZAMY NA STR. 3
FOTO G. PUCIATO



TADEUSZ SŁUPECKI

W POSZUKIWANIU ŹRÓDEŁ ESTRADOWEJ SZMIRY

Jak wygląda sprawa „dziki” imprez „artystycznych” w naszym mieście? Jakiego zagadnienia wysuwają się tutaj na czoło? Problemów związanych z walką ze szmirą jest dużo z konieczności w tym artykule trzeba się ograniczyć do najważniejszego — do ukazania podziemia kulturalnego w Łodzi.

Podziemie to (wszelkiego typu) chałturzyści) żeruje głównie na masowym zapotrzebowaniu zakładów pracy na tzw. „części artystyczne”,

kończące tradycyjnie wszelkie akademie, rocznice i obchody o charakterze państwowym lub społecznym.

Imprezy nielegalne, zwane inaczej „dzikimi”, urządzone są bez zezwolenia Wydziałów „u”ury oraz Urzędu Kontroli Prasy, często bez potrącania należności podatkowych i ZAIKSu, względnie z zaniżaniem tych należności. Dlatego są one z reguły nie tylko szkołą złych gustów, ale także szkołą oszustwa, korupcji i deprawacji charakterów. Wy-

stępują w nich zespoły aktorów, tworzone na ogół na zasadzie przypadkowości. Kierownikami tych zespołów bywają czasem co obrotniejsi aktorzy, czasem ludzie nie mający z aktorstwem nic wspólnego. Toteż częsta przypadkowość i lichota „produkcji” na tych imprezach monologów, piosenek i dwucypów konferansjerskich, przy tym ciągle tych samych od szeregu lat, idzie niejednokrotnie w parze z żalosnym lub wulgarnym aktorstwem,

czasem jeszcze z niechlujstwem ubioru. Program „ustalony” jest zwykle „na 5 minut” przed początkiem występów, nr zasadzie „co kto umie i akurat pamięta”. Czasem bywa doręczany zakładom wcześniej, w formie spisanej na kartce papieru wykazu tytułów: np. „Monolog pijaka”, „Lament położnej”, piosenka „Ba-da-ri-ba-ba”...

Do imprez tego typu wciągany jest bardzo szeroki krąg aktorów łódzkich — od najwybitniejszych aż do

statystów i chórzystek, którzy zazdroszą „gwiazdom” powodzenia na scenie i chałturowych zarobków. Organizatorzy „dzikich” występów chętnie angażują także amatorów. Amator wystąpi bowiem nawet za 100 zł, podczas gdy średniej rangi aktor zawodowy otrzymuje 300-400 zł, aktor popularny 400-500, czasem do 1.000 zł. Honoraria dla zespołu inkasuje z reguły or-

Dalszy ciąg na str. 6

NIECH PAMIĘĆ o nich PRZETRWA POKOLENIA

(W 20 rocznicę egzekucji zgierskiej)

W dniu 20 marca 1942 roku hitlerowcy dokonali w Zgierzu masowej egzekucji. Zginęło wówczas 90 mężczyzn i 4 kobiety. Była to druga po Warszawie masowa egzekucja w Polsce.

Artykuł poniższy opracowany został na podstawie protokołu z egzekucji sporządzonego przez Jerzego Wiczorka — „Bohdana” w dniach 20 — 24 marca 1942 roku i uzupełnianego w miarę zdobywania dalszych informacji w latach 1942 do 1945.

Poznali się przy kieliszku jeszcze przed wojną. Jeden z nich był sierżantem WP i strzelcem wyborowym, o drugim trudno coś powiedzieć. Wiaćomo, że nazywał się Kurt Torno i przed 1939 rokiem uczęszczał do Gimnazjum im. Staszica w Zgierzu. Wojna i okupacja rozdzieliła ich. Były sierżant — Józef Mierzyński pracował w konspiracji. Torno, w „Gestapo”.

Zimą 1942 roku Mierzyńskiego aresztowano za przynależność do tajnej organizacji. Znow się spotkali. Tym razem w więzieniu. Mierzyński nie przypuszczał, że wepchnięty brutalnie do jego „celi stary znajomy jest agentem „Gestapo”. Po dłuższej rozmowie konfident wiedział już, że jego „przyjaciel” ma ukrytą broń — 5 pistoletów.

Dalej wypadki potoczyły się według utartego schematu. „Więźnia” Torno wypuszczono, ale rozstanie nie trwało długo. Za kilka godzin prowokator wszedł do celi z implemtem „Gestapo”. Jedno spojrzenie Mierzyńskiego na skórzane, zielone płaszczce wyjaśniło sytuację. Zrozumiał, że to już koniec. Nie było sensu odwoływać tłumaczyć...

Zakutego w kajdanki przewieziono do Zgierza, gdzie miał pokazać schowek z bronią.

Samochód osobowy zatrzymał się przed posesją Skrzekotowskich (Długa 54). Torno i inspektor poprowadzili Mierzyńskiego na strych.

Poprzedniego dnia (5 marca 1942 roku) w mieszkaniu Skrzekotowskich i Janiny Rychter — Polaków, przeprowadzono rewizję. Właściciela domu aresztowano i wywieziono do Łodzi.

Na strychu, gdzie znajdowała się broń, Mierzyński poprosił o zdjęcie kajdan. Mierzyński tłumaczył, że skutymi rękami nie otworzy schowka, gestapowcy zgodzili się. Manewrując w skrytce, odbezpieczył nabity pistolet. Nie wia-

Dokończenie
na str. 5

NIE TRZEBA się EKSCYTOWAĆ

Jedni nazwali go procesem przemycnym, inni dewizowym. Prokurator określił go jako proces gospodarczy o charakterze aferowym. Każde z tych określeń jest słuszne i nie o określenia tu idzie. Rzecz w tym, że proces ten wzbudził ogromne zainteresowanie opinii publicznej, nie tylko w Warszawie. Był procesem niecodziennym.

Dwa są aspekty tej niecodzienności: wykroczenia przeciwko wemu w prawie karno-dewizowemu (weszło w życie w 1960 r. - przyp. J. Ł.), oraz ludzkie, którzy zasiadli na ławie oskarżonych.

Nowa ustawa dewizowa z 1960 roku poważnie złagodziła wymiar kary więzienia, przerzucając ciężar na bardzo wysokie grzywny. W najgorszym wypadku za przestępstwa popełnione w szczególności obciążających okolicznościach grozi z tytułu tej ustawy 5 lat aresztu. Grzywny wyprowadzić mogą być bardzo wysokie, ale też wysokie są zabobki w tym procedurze...

Przeszło dwa tygodnie obserwowaliśmy ten proces. Przeglądałem się jego głównym bohaterem, korowodowi świadków (ponad 40 osób, z tego niektórzy doprowadzani z więzienia). Słuchałem wyjaśnień, zeznań, polemik i replik. Nad salą sądu warszawskiego unosił się mit. Mit Michała Radzyna, aferzysty, który wspólnie z dwoma innymi równie niezapelnymi legajnymi emigrantami z Polski: Ludwikiem Skoczylasem i Mariem Adamaszkiem kierował w Wiedniu wielkim gangiem przemytniczym. Interes był duży. Gang prosperował 4 lata. Być może przeszło 40 milionów dolarów. Wyszło z niego 400 milionów dolarów. Nie na tym jednak rzecz polega.

Oskarżeni w tym procesie zasłaniali się Radzynomem lub Skoczylasem. To oskarżeni starali się stworzyć „mit Radzyna”. Niemal każdy z oskarżonych był Radzynomem za coś „wydługany”, miał wobec niego zobowiązania. Istniały między większosciami oskarżonych a Radzynomem jakiegoś rozliczenia z majątku pozostawionego przez niego w Polsce. Tylko jedna z oskarżonych (Bryk) powołana jest pokrewieństwem z tym aferzystą. Ale nikt z oskarżonych nie przyniósł się do tego, że motorem ich działania była chęć łatwego zarobkowania, chęć zysku z nielegalnych transakcji.

Mimo że stopień winy i zaangażowania się poszczególnych oskarżonych jest różny - łączy ich niewątpliwie wspólnota celu: profit! I dlatego rozta-

czany przez nich mit o Radzynomie czy Skoczylasie, mit o spłaceniu długu wdzięczności czy też świadczeniu grzesznościowych usług, brzmiał naiwnie i rozpylniał się. I nie bardzo ważny dla opinii publicznej jest fakt, czy oskarżeni działali w zmyśle czy nie. Istotne staje się, że tacy ludzie jak Wald, Jerzy Toeplitz, Lubliński i Obrębska stali się czynnymi uczestnikami ciemnej afery przemytniczej. Znaleźli się na jednej ławie oskarżonych z zawodowymi „cluchaczami” i pseudo-handlowcami jak Tosik czy Krystyna Losiak, z amatorami „dorabianiami sobie na boku” - jak małżeństwo Dudków, czy Helena Toeplitz, żona „o handlowej główce”...

Naukowiec, lekarz, dziennikarz, publicysta, dyrektor, handlarz i gospodynie domowe - wszyscy połączeni jednym węzłem: matactwem. Ciemne interesy w otoczek rzekomych grzeszności. Dźwina to zaiste grzeszność, której miara było 10 lub 15 procent od ceny brutto...

Proceder trwał cztery lata. Teraz się skończył. I nie tylko dla oskarżonych w procesie warszawskim. Jak doniosła „Frankfurter Allgemeine Zeitung” - władze austriackie aresztowały na zalecenie Interpolu - Michała Radzyna. Podobno podejrzany jest o fałszowanie złotych 20-dolarówek... Skończyły się wielkie interesy wiedeńskiego gangu Radzyna - Skoczylas - Adamaszek pod auspicjami wiedeńskiego kupca Schönbald. Dla oskarżonych w procesie warszawskim nastaje czas ekspiacji.

W chwili gdy piszę te słowa obrońcy zakończyli swe przemówienia. Gdy numer z tą korespondencją dojdzie do rąk Czytelników - wyrok będzie znany już z komunikatów PAP. Warszawski sąd nie sądził mitów. Sądził fakty, stanowiące występki przeciwko prawu. A że w tej aferze udział wzięli ludzie z wysokim cenzurem intelektualnym i społecznym - tym gorzej dla tych ludzi. Nie trzeboby się ekscytować. Finis coronatus - jak mawiali w starożytności. Przynać trzeba, że marne, bardzo marne było to „dzieło”.

P. S. W najbliższych dniach rozpocznie się również przed sądem warszawskim proces grupy, będącej kontynuacją gangu wiedeńskiego, oraz wkrótce proces grupy łódzkiej.

J. Ł.

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. HANNA
MAŁKOWSKA

dziekanem Wydziału Aktorskiego Państwowej
Wyszej Szkoły Teatru i Filmu im. L. Schillera

- ISTOCIE AKTORSTWA,
- SPECYFICE NOWYCH KADR,
- CECHACH AKTORA WSPÓLCZESNEGO,
- PROBLEMACH DYDAKTYCZNYCH UCZELNI.

— Na czym polega pozycja łódzkiej uczelni aktorskiej?
— Są trzy szkoły teatralne w kraju, ale tylko łódzka kształci kadry aktorskie także dla filmu i telewizji.
— Aktorstwo jest przecież tylko jedno?
— Tak. Toteż przygotowanie kadr dla teatru jest podstawą naszej pracy. Film i telewizja to raczej specyfika natury technicznej.

— Czy przy naszym ubożnym rozwoju telewizyjnym można w ogóle mówić o telewizyjnej wyjątkowości kadr aktorskich?
— O wyjątkowości na pewno nie. Zresztą idealnej wyjątkowości nie ma i gdzie indziej. Za granicą, w krajach, które mają olbrzymi przemysł filmowy i telewizyjny, gdzie instytucje te zdolne są zatrudniać aktora na stałe, aktorzy za bazę warsztatową uważają teatr. Ze wymienię tu choćby znanych aktorów filmowych Henry Forda lub Laurence'a Oliviera, którzy będąc w zasadzie pracownikami filmu utrzymują z teatrem stały kontakt, występują na scenach różnych teatrów i tworzą na nich niezapomniane kreacje aktorskie.

— Co wymaga większej wszechstronności od aktora: teatr czy film?
— Bezspornie teatr. W teatrze na aktorze spoczywa główny ciężar, w filmie jest on tylko jednym z elementów.
— Wydaje się, że teatr jest przy tym bardziej demaskatorski, surowy w obnażaniu osobowości aktora?
— Tak, film to w znacznej mierze gwiazdorstwo. Teatr tego nie znosi.

— Z jakiego środowiska rekrutuje się nasza młodzież aktorska?
— Najwięcej młodzieży przychodzi do naszej szkoły z małych miasteczek.
— Czy nie uważa Pani, że szkoły aktorskie przeżyją kryzys kadrowy? Ze

obserwując sytuację na przestrzeni kilku ostatnich lat notujemy jakby stały spadek walorów aktorskich wśród młodych kadr.
— Owszem - mamy poważne trudności rekrutacyjne. I rzysujemy też zaledwie 10 proc. ogólnej liczby kandydujących.
— Jakże są tego przyczyny?
— Och, przyczyn... Niech pani nie zapomina, że obecnie na wyższe uczelnie przychodzi roczniki wojenne, dzieci urodzone w latach wojny. Jest to młodzież słaba kondycyjnie, o gorszych warunkach zewnętrznych. Młodzieży tej brak jest poza tym temperamentu, pasji scenicznego. Proszę wziąć pod uwagę, że eksterminacja narodu polskiego ze strony okupanta wywoływała reakcje właśnie u tej najlepszej części naszego narodu, u ludzi reprezentujących najwyższe uczucia, temperament, porywy patriotyczne. Ci ludzie walczyli i ginęli. Wojna stworzyła więc selekcję, której rezultaty obserwujemy dziś jeszcze.

— Wspomniała Pani o kondycji. Czy to także ważne u aktora?
— Pomijając estetykę i harmonię ruchów jaką daje wyrobienie kostiumy, sama praca aktora wymaga wysokiej odporności fizycznej. Obserwujemy, że podczas gdy nasi starzy profesorowie po kilku godzinach wyczerpujących wykładów są w pełni sił, młodzi słuchacze upadają ze zmęczenia na scenie.

— Czy nie zdarza się spotkać chorego lub dziewczyny, którzy mimo niedostatków warunków zewnętrznych przejawiają autentyczny talent aktorski? Czy i wówczas nie zostają oni przyjęci do szkoły?
— To są bardzo rzadkie przypadki. Proszę jednak moich uwag o urodzie nie brać zbyt dosłownie. Uroda sceniczna bowiem to coś innego niż uroda na co dzień. Na sce-

nie niekiedy trzeba odświeżać rysami twarzy. Trzeba mieć wdzięk, przyciągać wzrok widzów. Wszystko to, rzecz jasna, może zastąpić wielki talent (np. Anna Margnani). Wielkie talenty jednak, jak wiadomo, nie rodzą się na kamieniu.

— Mimo to z uczelni łódzkiej, a konkretnie z wydziału prowadzonego przez panią wyszło kilku wysokiej klasy aktorów. Proszę powiedzieć, w jakim kierunku szkoła proważyła głównie swe wysiłki dydaktyczne?
— W kierunku wszechstronnego wykształcenia aktora, a pracę naszą zaczynamy od budzenia wyobraźni aktorskiej u naszej młodzieży. Jest to praca ciężka, przybiodząca bowiem do nas młodzież na ogół nie wyróżnia się wyobraźnią. Wynika to z tego, że współczesne urządzenia kulturalne, takie jak chociażby film czy telewizja, nie dają jej ku temu okazji. Podsuwają gotową papkę, którą młodzież przeżuwa od dzieciństwa.

— Staramy się więc rozwijać wyobraźnię artystyczną u młodzieży i w dużym stopniu udaje się nam uzyskiwać zadowalające efekty. Mamy np. teraz w szkole dziewczynę przybyłą z głębokiej prowincji, która jeszcze rok temu pozbawiona była elementarnej wyobraźni artystycznej. A dziś rokuje duże nadzieje aktorskie.

— Reasumując to wszystko o czym mówiliśmy: jakie są cechy idealnego aktora współczesnego?
— Duży temperament i duża inteligencja. Aktor, który ma być przygotowany do repertuaru współczesnego, i do tego, który nadejdzie, musi posiadać duże walory intelektualne. Do Dürrenmatta czy do Sartre'a nie można podejść bez inteligencji, podobnie jak do naszego Brodzkiewicza czy wielu innych autorów dramatycznych.

— Czym, poza dydaktyką, zajmuje się Wydział Aktorski?
— Prowadzimy prace badawcze nad stałą modyfikacją programu nauczania. Jesteśmy przeciwni skostnieniu form nauczania, tym bardziej, że kształtowanie aktora to jest kształtowanie indywidualne i metody muszą być giętkie, dostosowane do materiału ludzkiego.
— Co wynika z tych badań?

— Przede wszystkim pilna konieczność zwrócenia szczególnej uwagi na dykcję, na naukę mówienia po polsku. Zaczynamy nad tym pracować od pierwszego roku pobytu studenta w naszej uczelni. Staramy się wiele godzin ćwiczeń poświęcić wymowie, gdyż młodeż przychodzi do nas z wymową nie komunikatywną. Scena ma swoje prawa, głos musi pokonać odległość a to nie jest

możliwe bez czystej wymowy aktora.
— Jakże są najpocieszające wady wymowy u naszej młodzieży?
— Zjawiskiem nagminnym jest to, że młodzież nie wymawia czysto ani jednej samogłoski, ani jednego zbiegu spółgłosek, zwłaszcza syczących. Będów swoich nie słyszy, musi więc nauczyć się słyszeć swoje błędy, aby potem móc je korygować.

— Skąd się bierze owa nagminność złej wymowy u dzisiejszej młodzieży?
— Z jej własnego niechlujstwa oraz z niedokształcenia polonistów w zakresie kultury słowa. Szkolnictwo francuskie ma od szkoły podstawowej począwszy, godziny poprawnej wymowy, głosnego czytania, na których nauczyciel uczy prawideł fonetyki. Toteż francuskie szkolnictwo teatralne ma z tą dziedziną o wiele mniej kłopotów. Sama słyszałam we Francji aktorów lepszych, gorszych, ale wszyscy oni mówili bardzo pięknie. Wydaje się więc, że jakaś radykalna reforma jest u nas nieodzowna, jeżeli nasz język ma brzmieć jak język kulturalny. Bo w tej chwili młodzież u nas mówi gwarą: szkolną, studencką, a potem gdy kończy studia gwarą zawodową, nie mającą nic wspólnego z poprawną i czystą polszczyzną.

— Mimo tych dość surowych uwag nie ma mowy chyba o zmierzchu aktorstwa polskiego?
— Na pewno nie. Od czasu kiedy istnieje teatr stale się mówi o jego kryzysie. Czytając recenzje teatralne z XIX wieku, francuskie czy polskie, dowiadujemy się, że tak źle jak wówczas, w teatrze nigdy nie było, a była to przecież epoka wielkich gwiazd aktorskich. Coś z tego nurtuje zapewne i nas obecnie. Trzeba pamiętać, że teatr jest instytucją żywą, ma okresy falowania, wzniołości i upadków, ma też okresy prawdziwych kryzysów. Współczesny człowiek nie może ocenić w jakim okresie teatr ten się znajduje.

— Jest rzeczą zrozumiałą, że po „wybuchu” wielkich talentów, a zjawisko takie obserwowaliśmy na przełomie XIX i XX wieku aż do II wojny światowej, mógł nastąpić w konsekwencji katastrofy wojennej okres miernego rozwoju uzdolnień i nie należy z tego wyelargać jakichś ostentacyjnych wniosków.

— Jak więc pani widzi, my aktorzy, z dużym już stażem i wieloletnią praktyką pedagogiczną jesteśmy optymistami i nie tracimy wiary w naszą młodzież, w jej olbrzymie możliwości artystyczne. które być może ujawnią się nie zaraz, które dadzą o sobie znać tak jak wszystkie prawdziwe talenty.

Rozm.: K. WYRZYKOWSKA

W Łodzi to nie uchodzi

Marysia wyprasowała sobie własnie bluzeczkę. Naprostowała szewki u poniczoch, widocznie gotowała się do wyjścia.

Pan Feliks obserwował to wszystko zza gazety z pewną niechęcią, w końcu kiedy zaczęła krygować się przed lustrem, nie wytrzymał.
— Dokąd to panienka się wybiera?
— Do kina.
— Na co?
— Świetny film idzie w „Wojności” - „Zakochany kundel”.

Pan Feliks wsadził nos w gazetę.
— Kto mi da parę złotych? Mamusiul!
— Ojciec, daj jej 10 złotych!
Pan Feliks poderwał się: — Który to już raz w tym tygodniu? A to na mecz, a to na jakiś blok, to samorząd... Daj, daj, wciąż bez końca dawaj.
— To może być mi wyznacznik jakaś stała pensja? Niektórzy dziewczęta taką otrzymują i obyło się bez błagania i zdenerwowania.
— No, wyobraźm sobie, jakby to było! Pensje by się w ciągu jednego tygodnia wydawało, a później znowu stara piosenka: Tato, daj!
— A wiesz co, Felek... 6

buymy! Tylko, Marychna, pilnuj się, swoim groszem tak gospodaruj, żeby ci od pierwszego do pierwszego starczyło. Przecież ojciec też nie pójdzie w środku miesiąca do dziesięciu dyrektora po dodatkę, bo mu pieniądze zabrakło. Pamiętaj!

Pan Feliks ostatecznie wydzielił ze szkatuły 10 zł. Marychna już w płaszczyznie skierowała się ku wyjściu, kiedy ojciec rzucił za nią pytanie:
— A z kim idziesz?
— Z Michałem.
— Co? Z jakim znów Michałem?
— Jak to, nie wiesz wracała się mama, przecież nieraz ci o nim mówiłam. To ten jej kolega z pierwszego roku Politechniki.

— Z chłopakiem? Do kina? Nie, na to już nie pozwolę! Inne dziewczęta w jej wieku mają dość roboty w domu: kielce, lektura. Nie powiem, rozzerwać się czasami też potrzeba. Więc niechby już poszła na film. Ale dlaczego nie z kolegą? Jeszcze ma czas na randki!
Marysia stanęła zarumieniona, zacisnęła usta, w oczach zakreśliły się łzy.
— No, to jak? To nie może pójść.
— Nie i basta! Nie pozwalam! - wrzasnął pan Feliks. Tu Marysia wybuchnęła płaczem, rzuciła się na tancerzan ukrywający twarz w dionizach.
— Feliks pozwól na chwilę - rzekła pani Aniela. Wciągnęła małżonka do

kuchni zamykając za nim drzwi.
— Co ty wyprawiasz? Uspokój się! Przecież to już nie dziecko. Michała znam, w zeszłym roku dostał maturę. Chodźli do jednej szkoły. To bardzo przywoły chłopiec.
— Przywoły, przywoły! Co my tam możemy wiedzieć! Mówi o kinie, a licho wie, co się za tym kryje! Jak tak będziemy na wszystko pozwalali, doczekasz się od niej paszety, że ci oko zbieleje!
— Mój drogi, zastanów się co mówisz. Chcesz, żeby cię oklamywała? Proszę bardzo! Zapewniam cię, że jeśli dziś nie pójdzie, następnym razem, już nie powie prawdy.

Michałem nasza córuchna się wybrała. Ja mam nosa!
Zarucił szybko płaszcz i wyszedł.
Na ulicy przyspieszył kroku, żeby nie zniknął mu z oczu zielony płaszczek Marysi. Obok niej szedł szczeniup, niewiele wyższy od niej młody człowiek. Teraz pan Feliks cały dowiec skierować musiał na to, by nie stracić ich z oczu, ale i nie zbliżyć się zbyt, by nie został dostrzeżonym.

Szedł po drugiej stronie ulicy i kilka razy przesył nie lada emocje, kiedy bowiem przejeżdżający tramwaj przestonli ich sobą, młoda parka stanęła przed jakimś wystawą i pan Feliks, kiedy tram-

Zakochane KUNDLE

A nie wierzysz jej? To idź za nią! Zabaw się w Sherlocka Holmesa. Ale nie zmuszaj dziecka do kłamstwa!
Pan Feliks machnął ręką z rezygnacją, ale kiedy małżonka powiedziała córce, że ojciec pozwala, a za Marycha stuknęły zamykane drzwi, odezwał się:
— A ja ci mówię, że jesteś zbyt łatwowierna. Twój liberalizm w stosunku do niej idzie za daleko. Zebys ty widziała, jak ona się zachowywała, jak jej dźwięnie z oczu patrzyło. Jestem przekonany, że ona nas okłamuje. Śmieję się ze mnie, ale ja za nią pójdę i przekonamy się czy istotnie do kina z

Co robić? Zwrócił uwagę na numer domu, zauważył, że na pierwszym piętrze mieszczą się jakieś biura, ale wyżej na II, III i IV piętrze były mieszkania prywatne. W sercu uczuł dziwną satysfakcję: podejrzenia jego się sprawdziły, ale powodu do radości to mu nie dało. Trzeba było działać, przeskodzić, zapobiec ale jak? Co tu robić? Co robić? Pognał po schodach. Nikogo. Na trzecim piętrze zetknął się z młodym człowiekiem schodzącym z góry.

— Przepraszam. Nie, zauważył pan młodych ludzi. Dziewczyna w zielonym... Nieznajomy wydal z siebie niartykułowane dźwięki, wskazując przy tym na usta.
— Psiakrew! Niemowa.
Pobięł dalej aż na czwartę piętro. Nie napotkał żywej duszy. Zszedł na dół. Jakis czas stał na ulicy, zastanawiając się. Rozpoczął powolny spacer przed domem, zerkając w brame. Po kilkunastu minutach sytuacja zaczęła mu się wydawać groteskowa: w spojrzaniach przechodniów odczytywał jakieś zdziwienie, politowanie czy też ironię. Pocał się piekielnie głupio.
Szczęściem naprzeciwko była kawiarnia. Zajął szczytliwie wolne miejsce przy oknie. Stąd mógł doskonale obserwować przeciwległy odcinek ulicy. Do kawy poprosił kieliszek koniaku, bo zżabił nieco. W pewnej chwili przysiadł się do niego pan Bolesław, kolega z lat szkolnych. Wypili jeszcze po jednym.
— Co tak zerkasz wciąż na ulicę. Czekaś na dziewczynkę? No przynajmniej, stary łowca! Jeszcze w budzi słynaleś jako super-rozróżnierz niewieściuch. Nie usiał kłował się tak widzę. Może przeszkadzam?

Pan Feliks mruknął coś pod nosem. Po kilku następnych „kolejkach” ciut, ciut się rozgrzał, trochę rozkrochmalil a i na dworze zaczęło się ściemniać, więc i dalsza obserwacja stawała się problematyczna. Zebrało mu się na zwierzchnia. Wyjął przyjacielowi przykręte okoliczności, które go o tej kawiarni przywiodły.

Pan Bolesław pokładal się ze smiechem.
— Chłopie, a to cię towarzysztwo wywiodło. Toż to dom przejściowy! Młodzi już wyszli z kina, córka w chałupie, a ten tu na czatach! Niech ja w domu nie nocuję!

Pan Feliks po raz drugi poczuł się jakoś niewyrażnie: niby to zrobiono z niego balona, ale jednocześnie jakiś ciężar nieznosny spęł mu z serca.
Jedynę wyjście z tej sytuacji, zdreńce z odwieczna maksyma Sarmatów: na fraszek dobry trunek.

Wrócił do domu około północy: w wejściu natknął się na listonosza.
— O, proszę, odesza do pana!
Odebrał, pokwitował. Ciuchuteńko, żeby nikogo nie budzić przekreślił klucz w drzwiach. W przedpokoju nie bez rozzerwienia zauważył na zwykłym miejscu zielony płaszczek Marysi - czerwona tarcza. W kuchni wylał z kieszonki decesze. Czytał: „Troplącego Wyża o trochę więcej zaufania proszą zakochane kundle”.



N²

Krytycy filmowi biją na alarm. Filmy, których premiery ostatnio oglądamy nie są dziełami ambitnymi. Twórcy polscy zaprzestali poszukiwań treściowych i formalnych zjadając się na gatunki zapewniające sukcesy kasowe.

To zaniepokojenie jest zrozumiałe. Jesteśmy bowiem świadkami zasadniczych zmian w strukturze polskiej produkcji filmowej. Zmian, które prowadzą do wprowadzenia zasady obowiązującej w kinematografii na całym świecie. Zasady, która oznacza, że większość produkcji, to filmy komercyjne... Trudno witać te zmiany entuzjastycznie, choć z drugiej strony trudno je także potępiać. Nie wiadomo przecież jeszcze, czy jego konsekwencje okażą się w swych ostatecznych rezultatach korzystne.

Myszę, że niejednokrotnie wyrażony niepokój, spowodowany był w pierwszym rzędzie dość niefortunnymi premierami filmów, które ostatnio oddawano do eksploatacji. Obserwowana w przeciągu ostatnich lat specjalizacja twórców filmowych nie daje jednak, sądząc po ostatnim filmie Tadeusza Chmielewskiego złych rezultatów. Dwie poprzednie komedie filmowe Chmielewskiego „Ewa chce spać”, „Walec pikowy”, wyrobiły mu opinię bardzo zdolnego, znajomego filmowemu rzemiosłu reżysera. Sądzę, że „Dwaj panowie N”, drugi po nieudanym „Dotknięciu nocy” Barei, polski film kryminalny opinie te w pełni potwierdza. Tym więcej, że wskazuje na udoskonalenie zarówno warsztatu filmowego, jak i na konsekwentne rozwijanie charakterystyk w twórczości Chmielewskiego, stylów i estetycznych upodobań.

Scenariusz swego nowego filmu oparł na noweli Ryszarda Gontara i Zygmunta Szeligi utrzymując go, mimo iż zachował specyficzne dla sensacyjno-kryminalnej poetyki zasady dramaturgiczne w nieco komediowej konwencji. I choć konwencję tę, jakby z góry narzuconą parokrotnie łamie, szczególnie w środkowej części „Dwóch panów N”, w tym sposobie potraktowania kryminalnej intrygi widzę zasadniczy walor filmu, upatruję tu sukces Chmielewskiego — reżysera.

Bo całą opowieść o jednym zbrodniarzu, którego pilnie poszukują sympatyczny wywiadowca (bardzo dobry Zbigniew Józefowicz) i kapitan WSW (Bogdan Ejmont) potraktował trochę jakby z przymrużeniem oka. Być może zresztą, że dzięki takiemu potraktowaniu tematu uniknął Chmielewski — scenarzysta, schematyzmu. Co więcej, udało mu się pokazać jak można odwrócić stare schematy, nadając im nie tylko nowe znaczenie, ale jak można używać ich wcale innym odmiennym celu. Wspomniwszy bowiem tylko bohatera często pokazywanego w polskich filmach (Niedaleko od Warszawy) szpiega-sabotażysty. Postaci, której pojawienie się na ekranie wszystko rozstrzygało, rozwiązując z góry konflikt. Chmielewski szczęśliwie uniknął tego niebezpieczeństwa, dość zrezygnując zagadkę — kto zabił „Dwóch panów N” to film osadzony bardzo mocno w polskiej rzeczywistości. A co więcej, udało się twórcom tę rzeczywistość umiejętnie wykorzystać. To wyraźne satyryczno-komediowe zacięcie Chmielewskiego daje chwilami świetne rezultaty. „Dwóch panów N” wyposażone jest bowiem w szereg bardzo zabawnych i zresztą pomysłanych scen, które rozsadzają wprawdzie dramatyczne napięcie, ale wzbogacają film o nowe walory, służąc pięknej zasadzie — nie tracić okazji do zabawy.

„Dwóch panów N” nie jest wprawdzie arcydziełem i nie sądzę, by przeszedł do historii gatunku jaki prezentuje, jest jednak filmem, który z pewnością może i powinien się podobać. Jest zabawny, dobrze zrobiony i dobrze zagrany. Czegoż oczekiwać można więcej?

Strzeżcie się jednak hobbyści! Niewinna zabawa może bowiem prowadzić do nieszczęścia, sądząc po smutnym losie urzędnika hipoteki, który tylko zbierał nazwiska ludzi urodzonych 29 lutego.



„Cartouche”



„West - Side - Story”

Czy „worek różności”?

Co to jest film oświatowy? — Obawiam się, że każda próba definicji mogłaby wywołać akademickie spory wśród samych twórców tego gatunku filmu. Dlatego, aby ubezpieczyć się przed ewentualnym zarzutem ignorancji, zrezygnuję ze wszelkich w tym kierunku ambicji, porzucając na przypomnienie: są to wszystkie filmy, które noszą znaczek firmowy Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, ul. Kilińskiego 210 (WFO). A więc: krótkometrażówki o tematyce z zakresu — historii, kultury, sztuki, folkloru, krajoznawstwa, fizyki, chemii, techniki, gospodarki, biologii, medycyny, filmy wychowawcze dla dzieci, młodzieży i dorosłych, periodyki „Czy wiecie, że...”, filmy szkolne, instruktażowe oraz inne. Znany Giżycki nazwał WFO „workiem różnorodności”. (niestety, w znaczeniu ujemnym). Nic też dziwnego, że narada poświęcona aktualnym sprawom filmu oświatowego, która odbyła się w ubiegłym tygodniu w WFO, wysunęła jako jeden z naczelnych postulatów uprzywilejowanie i usystematyzowanie planowe swojej produkcji.

Co to jest film oświatowy? — Obawiam się, że każda próba definicji mogłaby wywołać akademickie spory wśród samych twórców tego gatunku filmu. Dlatego, aby ubezpieczyć się przed ewentualnym zarzutem ignorancji, zrezygnuję ze wszelkich w tym kierunku ambicji, porzucając na przypomnienie: są to wszystkie filmy, które noszą znaczek firmowy Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, ul. Kilińskiego 210 (WFO). A więc: krótkometrażówki o tematyce z zakresu — historii, kultury, sztuki, folkloru, krajoznawstwa, fizyki, chemii, techniki, gospodarki, biologii, medycyny, filmy wychowawcze dla dzieci, młodzieży i dorosłych, periodyki „Czy wiecie, że...”, filmy szkolne, instruktażowe oraz inne. Znany Giżycki nazwał WFO „workiem różnorodności”. (niestety, w znaczeniu ujemnym). Nic też dziwnego, że narada poświęcona aktualnym sprawom filmu oświatowego, która odbyła się w ubiegłym tygodniu w WFO, wysunęła jako jeden z naczelnych postulatów uprzywilejowanie i usystematyzowanie planowe swojej produkcji.

bardziej, że WFO bynajmniej nie ma zamiaru ograniczać rocznej produkcji, a wręcz przeciwnie — jak żywo ilustrują podane liczby — rozszerzyć. Tendencja ambitna i na pewno usankcjonowana społeczną potrzebą, gdyż jak wiadomo, część filmów oświatowych (szkolne i instruktażowe) służy szkolnictwu, poszczególnym instytucjom, zakładom pracy. Jednak większość pozycji oświatowych kolportuje się między zwykłą publicznością kinową, i ten właśnie odsetek filmów wymaga przemysłowej rewizji.

Filmy WFO miały ostatnio złą prasę. Jak dotąd, opinie publicystów były jedynymi opiniami, dostępnymi między filmem oświatowym a widzami. Stąd — WFO realizuje niejako swoje tytuły w próżnię. Stąd — owa bezplanowość produkcji, częste dublowanie tematów. Stąd wreszcie — brak powiązania z potrzebami aktualnego widza. Tak powstał poważny problem: jak zapewnić konieczny kontakt z widzami? Podczas narady, jeden z referentów, reż. J. Popielec-Popiołek wysunął wniosek o wprowadzeniu systematycznych i stałych badań naukowych nad

W Paryżu

Nowe filmy w Paryżu? — „L'Express” wymienia pięć tytułów: „Vie Privée”, „Siemdem grzechów głównych”, „Jules i Jim”, „Cartouche” i „West Side Story”. Żaden z tych filmów nie jest arcydziełem (jakkolwiek niektórzy krytycy tym mianem określają „West Side Story”), żaden nie jest „bombą” jak w zeszłym roku „Marienbad”, niemniej jednak, trzeba przyznać, każdy z nich okazuje się oryginalny na swój sposób. Nic w tym zresztą dziwnego; wystarczy rzucić okiem na nazwiska realizatorów: Luis Malle, Llorenço, Jean-Louis Godard, François Truffaut, Robert Wise...

O „Vie Privée” mówi i pisze się dużo przy każdej okazji: że Brigitte Bardot gra doskonale, że Luis Malle jest autorem arcydzieła. Rzeczywiście: reżyserska koncepcja filmu jest oryginalna. Nie wiadomo czy jest zarzutem czy pochwałą, nie podlegające wątpliwości stwierdzenie, że reżyser posłużył się w konstrukcji scenariusza elementami takich filmów jak „Dolce Vita” lub „Paryż do nas należał”. Brigitte Bardot gra, śpi, tańczy, ale przecież w „La Verité” grała jeszcze lepiej. Zresztą, to też nie jest zarzut...

„Jules i Jim” — trzeci film François Truffaut — historia przyjaźni dwu mężczyzn i ich miłości do tej samej kobiety. W roli głównej — Jeanne Moreau.

„Siemdem grzechów głównych” popełnił młody reżyserzy Nowej Fali, a z nim Llorenço który wraz z Sylvain Lhomme realizował „Gniew”, jedną z siedmiu nowel filmowych składających się na dwugodzinny program a Jean-Louis Godard jest autorem „Lenistwa”.

„Cartouche” z Jean-Paul Belmondo i Claudie Cardinale — film o „Faniłan Tulipan” lecz bez wątpienia lepszy: pełen ruchu i zderzeń, opowiada historię zakochanego bryganta Cartouche. Powiedzieć, że Belmondo jest doskonałym Cartouche to mało; jest on duszą filmu, nadaje mu jego ton i werwę. (Reżyseria: Philippe de Broca).

„West Side Story” — Szekspir po amerykańsku, Szekspir aktualny znowy: miast waśni rodowej — porachunki między dwiema bandami na ulicach Nowego Jorku, miast szpad — noże... I co najdziwniejsze — Szekspir pozostał Szekspirem. Film-balet, film-opera, tworząca jedną całość pełną poezji i tragizmu.

Film ten pobł w Ameryce rekordy kasowe „Ben Hur’a” — w Paryżu jest wyświetlany tylko w jednym kinie, ze względu na konieczność założenia specjalnych instalacji (duży ekran, dźwięk „6 pi-stes”...).

STANISŁAW STAN-WISNIEWSKI



odgłosu str. 3

OGLĄDAMY na EKRAKACH

Znany reżyser niemiecki Konrad Wolf, autor dobrego filmu produkcji niemiecko-bułgarskiej „Gwiazdy”, kontynuuje w swej twórczości nurt przypomnienia spraw, stale aktualnych i ciągnących na narodzie niemieckim. Wiele miejsca poświęca w swoich filmach hitlerowskiemu antisemityzmowi. „PROFESOR MAMLOCK”, sztuka teatralna napisana w 1935 r. przez reżysera Wolfa Friedricha (pierwszego ambasadora NRD w Warszawie), na której kanwie Konrad Wolf oparł scenariusz swojego filmu, należy do pierwszych dzieł odsłaniających antyhumanistyczny charakter hitlerizmu. W filmie dominuje akcent osobistej tragedii profesora. W tej postaci bez trudu odnaleźć można wiele rysów autobiograficznych pisarza. Sztuka teatralna okazała się, niestety, nie najlepszym tworzywem dla dzieła filmowego. Duża ilość dialogów przy ograniczonym miejscu akcji jest przyczyną słabego tempa narracji. Ekspresyjne zdjęcia wprowadzają chyba jedynie niewątpliwą stylistyczną całość. Braki tej adaptacji nie są jednak istotnymi w zestawieniu z funkcjami humanizmu i antyfaszysmu, jakie zawiera film. Za tę wartość nadano filmowi Wolfa Złoty Medal na Festiwalu w Moskwie. Niemala zasługę w podaniu tych aktual-

nych treści sztuki Friedricha Wolfa mają znakomici aktorzy: Wolfgang Heinz w roli tytułowej oraz Ursula Burg, Hilmar Thate i inni.

Tak się złożyło, że w niniejszym omówieniu bieżących premier filmowych wszystkie są adaptacjami utworów literackich. Podobno adaptacja i tomu sagi norweskiego pisarza Trygve Gulbransena „A LAS WIECZNIE SPIEWAJA” była jednym z najbardziej kasowych filmów w ostatnim czasie na Zachodzie. Trudno, są gusty i guściki. Dla waszego recenzenta austriacka adaptacja sagi dokonana przez reżysera Paula Maya, autora bardzo dyskusyjnego pod względem ideologicznym filmu zachodniemieckiego „0015”, jest bardzo długim i dość nudnym melodramatem, w którym oglądamy losy kilku pokoleń ektopskiej rodziny. Na pewno warto obejrzeć dobre, barwne zdjęcia operatora Elio Carnella i zobaczyć doskonałą w filmie Bergmana „Letni sen” — aktorkę szwedzką May Britt Nilsson.

Nie więcej chyba nie można lepszemu napisac o amerykańskiej adaptacji powieści Colette „GIGI”, która reżyserował Wincento Minnelli, autor filmowej „Pamięć życia” i jednej z najbardziej popularnych komedii amerykańskich „Zony modne”. Z powieści Colette reż. Minnelli wziął jedynie fabułę, na podstawie której próbował stworzyć komedię muzyczną z licznymi wstawkami wokalnymi. Niektóre elementy formalne zastosowane w tym filmie powtarza on ze wspomnianą „Zony modne”. „GIGI” będzie się podobało z różnych względów. Mamy więc w tym filmie wiele błyskotliwych, sporo paryskiego wdzięku, reprezentowanego przez uroczą Leslie Caron (znana nam z „Lili”) i Maurice'a Chevaliera.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

EWA OSTROWSKA

KOKSAGIZ



codziennie. Chęcił się swoim osiągnięciem, snuł plany na przyszłość, obliczał korzyści własne i państwa niemieckiego, które osiągnięte zostaną z produkcji koksagizu w majątku Ktery.

Ale Dynks nie był jedynym, który odwiedzał to miejsce. Jego zbiorami interesowali się ludzie należący do Polskiej Partii Robotniczej i Armii Ludowej obwodu Witonina. Wśród nich byli: Jan Dobrowolski, Zygmunt Jabłoński, Stanisław Kwiatek i Andrzej Sikora. Przychodzili oni codziennie ukradkiem nad rzekę i obserwowali miejsce, w którym moczą się korzenie koksagizu. Naradzali się nad sposobem pokrzyżowania planów Dynksa. Pewnego dnia komisarz Dynks wezwał placówkę Wehrmachtu po odbiór koksagizu.

Do majątku Ktery przyjechało kilka samochodów ciężarowych. Żołnierze mieli przewieźć ten cenny surowiec do Reichu i dostarczyć go do zakładów chemicznych. Dynks chwalił się przed swoimi odbiorcami z sukcesów, jakie osiągnął w produkcji koksagizu na polskiej ziemi. Zachwalał jego właściwości, wyliczając ile kauczuku otrzyma fabryka na wyprodukowanie opon samochodowych dla armii. Oficerowie z podziwem słuchali wypowiedzi Dynksa i gratulowali mu osiągnięć, jakich dokonał dla Wehrmachtu w dziedzinie zapatrzenia przemyśle w surowiec kauczuku.

Wszystko skończyłoby się szczęśliwie, gdyby „sukcesów” Dynksa nie zniweczyli witońscy AL-owcy. Pod kierownictwem Jana Dobrowolskiego przekradli się oni przed przyjazdem Niemców na brzeg rzeki, przeszli ją w bród, usunęli z niej pale i gałęzie wilkliny, które zabezpieczały koksagiz przed sływem. A kiedy Dynks wraz z żołnierzami zjawili się po swe piony, z koksagizu nie było śladu. Spłynął w wartkich nurtach Bzury w ilości 15 ton. Dynks już nie zdażył wyprodukować dla Wehrmachtu następnej partii tego cennego surowca dla produkcji opon samochodowych. Wyzwolenie Polski, które nastąpiło w styczniu 1945 roku, położyło kres panowaniu Niemców w majątku Ktery.

Komisarz Gustaw Ginter otrzymał od władz niemieckich kartę mobilizacyjną. Dowództwo Wehrmachtu wezwało go do pełnienia służby wojskowej. Pewnego dnia przemówił on do robotników dworskich w Kterach.

— Wszystkiemu winien Stalingrad. Idę czynnie służyć ojczyźnie. Na „pożegnanie” Gustawa Gintera ktoś ze służby powiedział żartobliwie do swych kolegów.

— Noś wilk, ponieśli i wilka.

Po odejściu Gustawa Gintera do majątku Ktery w powiecie łęczyńskim przybył Niemiec Dynks. Ten zaraz zabrał się do roboty. Zwołał fachowców od uprawy gleby i zapytał ich:

— Czy wiecie co to jest koksagiz?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zaczął wyjaśniać robotnikom, że jest specem od hodowli koksagizu. A kiedy skończył „wykład” o swych umiejętnościach fachowych z dziedzin hodowli tej rośliny, nakazał rozbić i wywieźć inspekte i zasiać w nich na wiosnę nasiona koksagizu. Ludzie nie dowierzali słowom Dynksa. Powątpiewali w możliwość wyhodowania przez niego tej rośliny w klimacie środkowoeuropejskim. Ale Dynks obstawał przy swoim.

Przywiozłem z Krymu nasiona koksagizu i na jesieni zbiorę piony — twierdził.

Istotnie, latem 1944 roku w majątku Ktery zakwitł koksagiz na 8 hektarach ziemi. Dynks chodził po plantacji i czuł osobiste nad hodowlą. Przyszła jesień. Zbiory były obfite. Robotnicy zebrali nasiona, a korzenie rośliny ułożyli warstwami w ogrodzonym palami i gałęziami wilkliny korycie rzeki Bzury. Teraz zapobiegliwy Dynks przychodził nad rzekę niemal

KNIEJA

5 sierpnia 1944 roku. Brzoźówki, miejsce postoju oddziału partyzanckiego AL „Kruka”. W dniu tym dowództwo oddziału otrzymało wiadomość, że szosa od św. Anny w kierunku Czestochowy przejeżdżać będą tabory niemieckie z amunicją. Oddział „Kruka” poczynił przygotowania do wymarszu. Zgodnie z planem atak na transport nastąpił miał w miejscowości Knieja. Nocą z dnia 5 na 6 sierpnia partyzanci odbyli marsz na trasie Brzoźówki — Knieja. Wczesnym rankiem dnia 6 sierpnia 60 uzbrojonych ludzi w orkaemy, karabiny ręczne i granaty zajmują pozycje tuż przy szosie, maskując się w zarosłach na wzgórzach. W kierunku św. Anny został wysłany na rowerze łącznik-obszernator w celu zebrania wiadomości o ruchach nieprzyjaciela.

Tymczasem przybywa do Kniej oddział partyzancki AL składający się z Rosjan, którzy zbiegli z niewoli jenieckiej, zajmując również pozycje za przydrożnym rowem. O godzinie 6 obserwatorzy meldują zbliżanie się w kierunku Kniej kolumny samochodów ciężarowych z wojskiem niemieckim. Kolumna jechała wolno, prowadzona przez trzy samochody osobowe. Partyzanci celują. A kiedy samochody „najechały na zasadzkę, odezwał się z pozycji partyzantów jazgot broni maszynowej i obszarł z kłk. Dwa samochody zatrzymały się, trzeci zdażył odjechać i stanął w odległości 800 metrów od miejsca zasadzki. Doścignęły go kule z karabinów ręcznych. Dwa wozy ciężarowe słoczyły się do rowu, a jadące za nimi zatrzymywały

się gwałtownie uderzając o siebie.

Na szosie powstał zator. Obszarł partyzantów trwał nieustannie. W pewnej chwili Niemcy ochłoneli i odpowiedzieli ogniem z broni maszynowej, wywiązała się obustronna walka. Przewaga sił była po stronie Niemców. Pozycje partyzantów zostają zagrożone. „Kruk” podejmuje decyzję przerwania oddziału na przeciwną stronę szosy, do lasu. Partyzanci przebiegają drogę, osłania ich ogniem z kłk Pepik. A kiedy oddział wbiegł do lasu, Pepik osuwa się na ziemię, ugodziła go wraza kula. Kolejny, podbiegając do niego i unoszą go z sobą. Wówczas zastępuje go Petro z oddziału Rosjan. Petro zajmuje pozycję za drzewem i raz wroga z automatu. Po kilkunastu minutach Petro pada martwy na polu walki. Niemcy wchodzą do lasu, nie milną strzały, oddziały partyzanckie cofają się, chłopcy dysponują resztkami amunicji. Na placu walki piętrzą się stosy rozbitych samochodów ciężarowych, w powietrzu unosi się swąd spalonej benzyny. Walka trwała pół godziny. Jak ustalił później wywiad dowództwa AL, oddział „Kruka” zaatakował pod Knieją kolumnę 56 samochodów, w których jechała wojska lotnicze. W samochodach osobowych znajdowali się dowódcy jednostki „Luftwaffe”, wszyscy zgineli. Wśród Niemców było wielu zabitych i rannych. Po stoczonym walce oddział „Kruka” wycofał się na miejsce postoju w Brzoźówkach.

Jeżeli mówi się o kulturze jakiegoś kraju, to przede wszystkim ma się na uwadze stan szkolnictwa. W roku 1932 nie uczęszczało do szkoły 1.200.000 dzieci. W 1929—32 zamknięto w kraju 37 gimn., zmniejszając liczbę uczniów szkół średnich. 60 proc. istniejących szkół średnich było szkołami prywatnymi z wysokim czasem. Z roku na rok pogarszał się stan lokalni szkolnych, pomocy naukowych i pogarszały się warunki pracy nauczyciela.

Jedną z gazet łódzkich pisała: „Budżet wojska nie uległ niższe, budżet polcji — tylko o 8 proc., wyznań religijnych — 8 proc., a budżet oświaty zmniejszono o 22 proc. O wzmożeniu nauczania nie może już być mowy, skoro kilkaset tysięcy dzieci w

JERZY DAGOBERT V KOLUMNA

8 września 1937 roku minister spraw zagranicznych Włoch — hrabia Ciano zanotował w swoim osobistym notatniku: „Znow postanowilem dać nową dotację rekestom (250 000 lirów miesięcznie)”. A w dokumentach archiwalnych niemieckiego wywiadu z r. 1939 odnaleziono następującą notatkę: „Berlin marzec 1939 — postanowiono subsydiować tygodnik Flaman (Vlaams National Verbond) kwotą 800 marek miesięcznie”.

Skąd taka hojność faszystów niemieckich i włoskich dla belgijskiego nacjonalizmu? Dlaczego tak wysokie subsydia płynęły dla czasopism nacjonalistycznych w Belgii?

Odpowiedź na te pytania jest równie prosta, jak cyniczna. Zarówno lider Flamanckiej Ligi Narodowej — zatwardziały nacjonalista belgijski Stav de Clairk, jak też faszystowski polityk belgijski — Leon Degrelle, naczelny redaktor dziennika „Rex” (a zarazem przywódca faszystowskiego ugrupowania tzw. reksistów) — od dawna byli związani z niemieckim ruchem faszystowskim, a później i z faszystami spod znaku Mussoliniego. Te związki były stare, sięgały jeszcze okresu pierwszej wojny światowej i pierwszych lat powojennych, kiedy to w przygranicznych wschodnich rejonach Belgii: Eupen i Malmédii, które Niemcy na skutek przegranej wojny musieli odstąpić Belgom — większość mieszkańców tych rejonów posługiwała się językiem niemieckim. Degrelle i de Clairk, przywódcy flamanckich narodowych — seccjalistów szybko znaleźli wspólny język z nazistami niemieckimi. A ponieważ w tym towarzystwie obowiązują „usługa za usługę” — stąd subsydia płynące z kas Rzymu i Berlina na rzecz belgijskich faszystów. Ci z kolei obowiązanymi byli głosić słusność żądań niemieckiej mniejszości narodowej z przygranicznych rejonów. Z takiego współdziałania niewielki krok do ścisłej współpracy z wywadem hitlerowskim. Podkreślamy ze szczególnym naciskiem współpracę z tym wywadem, gdyż usługi świadczone na rzecz włoskich na-

LEON DEGRELLE et Company

zistów, były w wypadkach, które opisujemy, sprawą trze cioplanową, choć pieniądze ich były duże.

W sytuacji legalnie działających w Belgii reksistów i członków VNV (Flamanckiej Ligi Narodowej) wzrastały wyraźnie niebezpieczne powiązania belgijskich nacjonalistów z ruchem hitlerowskim. Społeczeństwo zdawało sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa, szczególnie w obliczu systematycznie następujących inwazji niemieckich na kraje sąsiednie. Okupowana już była Holandia, Dania i Norwegia — szybkimi krokami zbliżała się katastrofa do Belgii. Belgowie doskonale pamiętali koszarne dni sierpnia 1914 roku, kiedy to podkute buty niemieckich żołdaków zaczęły deptać ziemię Belgów. Pamiętali również te cztery lata okupacji, w których bezprawie, poniżenie, znęcania i morderstwa były powszednim „dziełem” Niemców. Toteż kiedy 10 maja 1940 roku za-

cie we Francji, o napaści Włoch na Francję, o przetrwaniu linii Maginota. To członkowie piątej kolumny ślali panikę wśród społeczeństwa, przekazując nieprawdopodobne relacje o olbrzymich desantach hitlerowskich, zrzuconych w Ardenach, o licznych napaściach i rozbrojeniach mniejszych oddziałów wojskowych i policji belgijskiej. A Bruksela aż hucała od sprzecznych wiadomości. W związku z opowiadaniem przez Niemców trzech ważnych mostów na kanale Alberta w okolicy miasta Liege i braku wiadomości o sukcesach armii belgijskiej i oddziałów armii zaprzysiężonych — nie miały większego wpływu na uspokojenie i opanowanie paniki słowa króla Leopolda, który w dniu 13 maja zapowiedział naród belgijski, że „nasza sytuacja polepsza się z każdą godziną”. W rzeczywistości było odwrotnie. Tysiące i setki tysięcy uciekinierów zapelniało szosy.



częło się niemieckie natarcie — strach i panika ogarnęły Belgię. Nastrojów tych nie pomniejszał fakt, że na drogach pojawiły się zmechanizowane oddziały wojsk francuskich i angielskich, sojuszników Belgii. I chociaż Belgowie na widok tych oddziałów wznosili okrzyki: „On les aura!” („Wróg będzie zwyciężony!”) — niedobre przecucia brały jednak górę.

Do akcji wstąpiła piąta kolumna. Jej dziełem było rozpowszechnianie prowokacyjnych wiadomości o przewro-

ten zdenerwowany tłum przez mieszał się z kolumnami wojskowymi. Wszyscy parli w różne strony. Plotka goniła plotkę, prowokacyjne wieści, które błyskawicznie przynikały w olbrzymie potoki ludzkie powodowały niebyswały galimatias. Zaczęły się mnożyć wypadki dezercji żołnierzy armii belgijskiej. Rząd belgijski rozpoczął arestowania wśród reksistów i członków VNV. Leona Degrelle i Stav de Clairka arestowano wprawdzie 10 maja, ale już w dwa dni póź-

niej zwolniono ich bez podania przyczyn. Zaczęto arestowania i internowania wśród ludności niemieckiej okęgów Eupen i Malmédii, wśród członków tzw. Heintal-treue Front („Front wierności ojczyźnie”). Arestowano większość spośród 10 tysięcy niemieckich obywateli mieszkających w Belgii. Ale coś z tego, kiedy okazało się, że więzienia są przepełnione i trzeba było tych ludzi odsyłać z powrotem, lub szykować transporty do Francji, gdzie zamierzano ich arestowanych ułokować. Pomysł zaiste fantastyczny, zważywszy choćby na fakt: dużej dezorganizacji transportu w ogóle, a w kierunku granicy francuskiej w szczególności.

Tymczasem ludzie Degrelle i de Clairka, wspomagani przez nadesłanych z Niemiec agentów wywiadu hitlerowskiego dezorganizowali przede wszystkim belgijskie oddziały wojskowe, szerząc wroga propagandę przeciwko celowości prowadzenia wojny z Niemcami. Agenci niemieccy i członkowie piątej kolumny nie dopuszczali do zniszczenia obiektów strategicznych, które opuszczały wojska belgijskie. Tak było w wypadku próby zatopienia przez patriotów belgijskich tunelu pod rzeką Schelde, niedaleko Antwerpii, tak było również z próbą zatopienia terenów, które przylegały do rzeki Izery. Spadocierznarze hitlerowskiego generała Studenta, dowodzącego desantem w Ardenach, trafili tylko dzięki ludziom Degrelle'a sprawnie wykonane swoje zadania.

Zdemoralizowana armia, w której panował zwątpienie w celowości kontynuacji walki, zagubieni wśród tłumów uciekinierów żołnierze jakiegoś skoordynowanego kierownictwa, sabotaż i prowokacje rodzimych faszystów spod znaku reksistów i VNV, którzy prowadzili niemalże jawnie wroga propagandę przeciwko własnemu rządowi i krajowi, sprzedając niekiedy polityków belgijskich, a szczególnie Degrelle'a i Stav de Clairka, oraz typowa dla piątej kolumny działalność dywersyjna — oto podstawowe czynniki, które doprowadziły do kapitulacji Belgii, do ponownej tragedii narodu belgijskiego, który przeszedł pod kilkunastu okupację hitlerowską. Rodziny nacjonalistyczne belgijskie skrzętnie wspomagane przez niemieckie i włoskie faszysty, karygodna tolerancja ze strony rządu belgijskiego okazała się drogą do władzy i wpływów takim degeneratorem własnego narodu, jakim okazał się Degrelle, twórca i organizator — w późniejszym okresie II wojny światowej — niesamowitego legionu belgijskiego „Wallonia”, który walczył u boku Niemiec na froncie wschodnim.

ZA TYDZIEŃ: „CYRK PRZYJECHAŁ — WYSTĘPU NIE BYŁO”

NOTATKI z niedawnej przeszłości Jadwiga Jazdzynska

Jeżeli mówi się o kulturze jakiegoś kraju, to przede wszystkim ma się na uwadze stan szkolnictwa. W roku 1932 nie uczęszczało do szkoły 1.200.000 dzieci. W 1929—32 zamknięto w kraju 37 gimn., zmniejszając liczbę uczniów szkół średnich. 60 proc. istniejących szkół średnich było szkołami prywatnymi z wysokim czasem. Z roku na rok pogarszał się stan lokalni szkolnych, pomocy naukowych i pogarszały się warunki pracy nauczyciela.

Jedną z gazet łódzkich pisała: „Budżet wojska nie uległ niższe, budżet polcji — tylko o 8 proc., wyznań religijnych — 8 proc., a budżet oświaty zmniejszono o 22 proc. O wzmożeniu nauczania nie może już być mowy, skoro kilkaset tysięcy dzieci w

KULTURA ROBOTNICZEJ ŁÓDZI

wieku obowiązkowym nie znalazło w tym roku miejsca w szkole, obniżenie tedy poziomu i organizacji szkolnictwa jest nieuniknione”. („Głos Poranny” nr 37, z dnia 6 lutego 1932 roku).

Jak się przedstawiało na tym tle szkolnictwo łódzkie? Z ankiety, o stanie sanitarnym szkół, którą wypełniali lekarze szkolni wynikało, że na dzień 1 stycznia 1935 r. było w Łodzi lokalni szkolnych 139, z których tylko 29 znajdowało się w specjalnych budynkach miejskich, reszta mieściła się w domach prywatnych, 52 lokale szkolne uznano za zupełnie nieodpowiednie, a nawet szkodliwe. W tych 52 szkołach pobierało naukę 30 proc. wszystkich łódzkich dzieci. Wszystkie te lokale były nieskanalizowane. W jak ciężkich warunkach znajdowało się szkolnictwo łódzkie, może świadczyć fakt, że szkołę przy ul. Śródmiejskiej 8, która zaiegła z czynszem, właściciel domu zicytował, uzyskawszy od sądu

pozwolenie na tę licytację. Cale urządzenie szkoły, w tym ławki i pianino zostało sprzedane za ... 180 zł („Głos Poranny” nr 25 z dnia 26 stycznia 1934 roku).

Mówiąc o bolączkach łódzkiego szkolnictwa, kurator Ambroziewicz stwierdził: „Nadzór jest staranny, natomiast stan pomieszczeń szkolnych przedstawia się fatalnie. Jest kolosalna dysproporcja pomiędzy stanem klas w gminach miejskich, a stanem klas w szkołach, mieszczących się w domach prywatnych. Widziałem te szkoły. Panuje w nich duża ciasnota i należało by je właściwie zamknąć”. („Głos Poranny”, nr 282 z dnia 14 października 1936 r.).

Pomimo że większość rodziców właściwie pojmowała obowiązek wychowywania dzieci nie zawsze udawalo się rodzcom zabezpieczyć dzieciom ukończenie szkoły powszechnej. Około 60-65 proc. młodzieży łódzkiej opuszczało szkołę powszechną po skończeniu szóstej, piątej, a nawet czwar-

tej klasy. Np. w roku 1936/37 w łódzkich szkołach powszechnych było na terenie Łodzi w klasach siódmych 7.197 uczniów, podczas gdy młodzieży w wieku odpowiadającym temu oddziałowi było 14.474. (H. Denisiewicz — „O opiece wychowawczej i pomocy dla młodzieży” artykuł drukowany w piśmie „Kultura Łodzi” nr 1 z lutego 1938 roku str. 2).

Przyczyny tego stanu tkwiły najczęściej w sytuacji materialnej: rodzicom nie starczyło na buty, książki itp. Bardziej nikły procent dzieci robotników łódzkich uczęszczał do szkół średnich, ogólnokształcących lub zawodowych. Warszawa, miasto dwa razy tak duże jak Łódź, miała 25 tys. młodzieży w szkołach średnich, a Łódź zaledwie 7 tys. To samo było w szkolnictwie zawodowym. W Warszawie uczęszczało do szkół zawodowych 9 tys. młodzieży w Łodzi — ok. 3 tysięcy.

Szkole zawodową zastępowała o najczęściej terminowaniem, nauką zawodu w zakładach rzemieślniczym czy też w fabryce. W niektórych wypadkach terminowanie było pol-



W POSZUKIWANIU ŹRÓDEŁ

Dalszy ciąg
ze str. 1

ESTRADOWEJ SZMIRY

ganizator imprezy, który zakładom pracy podaje wyższe stawki dla aktorów, swoim „najemnikom” wypłaca jednak znacznie mniej. Np. po jednej z takich chałtur znana w aktorskim świecie Łódź organizatorka „dzikich” występów, pewna nie-aktorka zamiast ustalonej stawki w wysokości zł 400 — wypłacała aktorom po 250, resztę zatrzymując dla siebie. Oprócz ściąganych z aktorów „haraczu” i swojej prowizji „organizatorskiej”, niektórzy organizatorzy zarabiają jeszcze na należnościach dla autorów tekstów, które inkasują rzekomo dla ZAIKS, a zostawiają w swoich kieszeniach.

„Dzicy” organizatorzy występują przy tym często sami w roli aktorów czy konferansjerów, „zatrudniają” także dodatkowo członków swoich rodzin, nie-aktorów. Ostatecznie nawet starsza, mocno już tężawa pani jest w stanie nauczyć się i wydukać na scenie dwa wiersze Broniewskie-

bo ta szybko przybiegła wystraszona do „Estrady” i podpisała umowę bez owej fikcyjnej kwoty. Ale widać ktoś w tych zakładach nie był zainteresowany w płaceniu niższych rachunków za występy, bo odtąd nie wpłynęło stamtąd do „Estrady” ani jedno zamówienie! Podobnie było z Poludniowo-Łódzkimi Zakładami Przemysłu Jedwabniczego, które w marcu ub. roku również przysłały do rozmów z „Estradą” wspomnianą p. N. Kiedy przedstawiciele zakładowego koła Ligi Kobiet zwrócono uwagę na zbędność tego pośrednictwa i fikcyjność wydatku na rzekomy „akompaniament” syna organizatorki — owa przedstawicielka podziękowała grzecznie za informację. Zakładom wystawiono więc rachunek niższy, dano tych aktorów o których zakład prosił — i znów stracono klienta. Przypadek? Może. W każdym razie nie podejmuję się rozstrzygać o tej kwestii.

Oczywiście, nie wszystkie „dzikie” imprezy w Łodzi dochodzą do skutku wyłącznie wskutek „odpalania prowizji”. Część zakładów jest wprowadzona w błąd przez przedsiębiorczych organizatorów, którzy podają swoje zespoły za zespoły „Estrady”, Radia itp. Niekiedy okazują nawet jakieś stare, zdezaktualizowane zaświadczenia czy blankiety niewypełnionych umów sprzed kilku lat — ostemplowane, nie wiadomo, prawdziwymi czy sfalszowanymi pieczętkami tych instytucji; posiadają czasem także teksty ze starymi pieczętkami Woj. Urzędu Kontroli Prasy; wystawiają zakładom „rachunki”. Grasujący na terenie Łodzi „dziki” zespół pt. „Czwórka z plusem”, który kiedyś wystąpił kilka razy w łódzkim Radio, a w skład którego wchodził sam amatorzy bez kwalifikacji aktorskich (za to z inspektorem pewnego przedsiębiorstwa... budowlanego na czele) — posunął swoje zuchwałstwo do tego stopnia, że jeszcze niedawno, podając się za zespół łódzkiej „Estrady”, usiłował uzyskać w Woj. Urzędzie Kontroli Prasy na swoich tekstach świeżą pieczętkę tegoż Urzędu! Po co? Aby dezorientować zakłady pracy rzekomym „zezwoleńcem” na urządzanie imprez.

Niektórzy „dzy” organizatorzy otwierają sobie znów świetlice łódzkich fabryk znajomością ludzką... psychologii. Np. wieoletni organizator „dzikich” imprez, aktor p. C., człowiek na pewno kochający scenę, ale reprezentujący w sztuce estradowej dawne tradycje złego smaku, swoje imprezy okrasza gęsto... pochleństwami! W swoim czasie widziałem jego „dziką” imprezę w Łódzkiej Wytwórni Wudek, przy ul. Armii Czerwonej. Pan C. rozpoczął imprezę od „złożenia hołdu wspaniałej zarodce Wytwórni” w imieniu zgromadzonego przez niego zespołu „aktorstwa scen łódzkiej” — a potem co drugi numer programu ucykował kolejno wszystkim zakładowym „tiszom” i instancjom: „Ofiarnej Dyrekcji”, „Niestrudzonej Radzie Zakładowej”, „Mądrej Egzekutywie organizacji partyjnej” — po kolei aż do portiera. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze program zyskiwał powszechny aplauz, choć obok rzeczywistej dobrej — w programie były numery szmiry, obok najlepszych łódz-

kich aktorów — amatorzy. I choć jeden z monologów (o babce... kłozetowej i publicznej ubikacji!) ośmieszał ideę współzawodnictwa pracy — zaledwie w 10 minut potem, jak dyrekcja wręczyła 1-Majowe nagrody właśnie... prozownikom pracy!

A jakich znów wyjaśnień udzielają niektóre zakłady pracy, zapytywane o przyczyny omijania obowiązujących przy organizowaniu imprez przepisów? Niekiedy powołują się na „większe koszty” imprez, organizowanych przez przedsiębiorstwo państwowe — spowodowane tym, że „Estrada” do honorariów aktorskich ma u s i doliczać obowiązujące ustawowo tantiemy dla autorów tekstów („ZAIKS”) oraz swoją m a r ż ę z a r o b k o w ą. „Usprawiedliwienie” aż dziwne ze strony zakładów przeznyszowych i instytucji handlowych, które do cen s w o i c h w y r o b ó w w l i c z a j ą p r e c i e ż w s z y s t k i e f a k t y c z n e k o s z t y i t a k ż e d o l i c z a j ą o k r e ś l o n ą m a r ż ę z a r o b k o w ą. Trzeba przyznać, że w tych sprawach trochę zamieszania wnoszą sami aktorzy, którzy od „Estrady” domagają się — i słusznie — godziwych i stałych stawek, a za imprezę „dziką” — aby nie stracił klienta na rzecz drugiego chałturzysty — godzą się nieraz na stawki znacznie niższe niż pobierane normalnie.

Inne znów zakłady tłumaczą się tym, że niektóre imprezy „Estrady” były kiedyś słabe. Rzeczywiście, w przeszłości łódzkiej „Estrady” był okres, kiedy urządzane przez nią imprezy okolicznościowe pozostawiały dużo do życzenia. Przyczyna tego tkwiła w

wskutek prężności chałturzystów — ponad 85 procent imprez okolicznościowych przechwytywały jeszcze do dziś ci ostatni. I, podszycując się pod firmę „Estrady”, ciągle jeszcze wpływają na kształtowanie się opinii o tej instytucji. O rozmiarach dezorientacji w tych sprawach niech świadczy choćby fakt, że całkiem niedawno wysoki przedstawiciel władz miejskich zwrócił uwagę „Estradzie” na słaby — wskutek nieumiejętnego zestawienia tekstów i wykonawców — poziom tegorocznej imprezy choinkowej dla dzieci w szkole na Karłowcu — i dopiero wtedy dowiedział się, że oglądał imprezę „dziką”.

Czy w Łodzi próbuje się przeciwdziałać opisanej tu po krótku anarchii imprezowej? W ostatnich miesiącach — tak i to coraz energiczniej. „Estrada” łódzka zaczęła to czynić już mniej więcej od dwóch lat. W swoim czasie przesłała nawet do miejskiego Wydziału Kultury wykaz ujawnionych przez siebie kilkunastu „dzikich” imprez — bez uzyskania jakichkolwiek sankcji wobec zakładów winnych ich zorganizowania. Odtąd czyniła to już tylko w sposób dla siebie właściwszy, bo przez stałe podnoszenie poziomu artystycznego swoich programów. I ma na tym polu spore osiągnięcia, wyrażające się w znacznym wzroście — w porównaniu ze stanem sprzed dwóch lat — ilości urządzanych przez siebie imprez.

Ale chałturzystów nie zwalczą do końca nawet najlepsze programy „Estrady”. Z anarchią w tej dziedzinie mogą definitywnie skończyć tylko władze naszego miasta. Nie są tu nawet, moim zdaniem, niezbędne jakieś nowe decyzje właściwych organów ministerialnych. Obecnie obowiązujące przepisy dają radom narodowym, ich wydziałom kultury — wystarczające możli-

wości ukrócenia samowoli w tej dziedzinie. Dowodem tego jest choćby fakt, że dzięki przeprowadzonej przez Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi wcześniej, bo już w roku ubiegłym, energicznej akcji na terenie woj. łódzkiego — Wydziały Kultury Powiatowych Rad Narodowych w za-

sadzie ukróciły „dzikie” imprezy w podległych sobie miejscowościach, które dawniej również były domeną chałturzystów.

Rzecz jasna, że łatwiej te sprawy opanować w małym niż w wielkim mieście. Ale dla Łodzi jest to również sprawa w pełni osiągalna. Zresztą w bieżącym roku widać już także pierwsze rezultaty wysiłków miejskiego Wydziału Kultury, które wyrażają się w pewnym wzroście napływania do „Estrady” zamówień na imprezy ze strony części tych łódzkich zakładów pracy, które dotąd były opanowane przez chałturzystów. W dalszej akcji w tym kierunku, miejskiemu Wydziałowi Kultury mogłyby chyba wiele pomóc Zjednoczenia Branżowe, którym podlegają dyrekcje poszczególnych zakładów pracy — dalej Związki Zawodowe i organizacje partyjne.

Na koniec trochę o perspektywach przyszłości. O czasie,

kiedy ostatni „dziki” impresario w Łodzi zajmie się uczciwą pracą, a aktorzy, zamiast chałturzyć, będą brali udział w coraz to lepszych artystycznie programach łódzkiej „Estrady”.

Opanowanie, przy pomocy władz miejskich „rynku estradowego” w Łodzi przez Przedsiębiorstwo Państwowe, jakim jest „Estrada”, pozwoli na uczynienie z przypadkowych i często szmiryowatych „części artystycznych” w zakładach pracy — jeszcze jednego instrumentu polityki kulturalnej, instrumentu kształcenia teatralnych gustów widza. I to tego widza, dla którego urządzane z okazji 1 Maja czy 22 Lipca występy estradowe są często głównymi, jeśli nie jedynymi jeszcze — m. n. o optymistycznych statystyk — kontaktami z jakąkolwiek formą sztuki scenicznej.

Wtedy dopiero będzie można rzeczywiście zapewnić dalszy wzrost poziomu artystycznego tego typu występów, zapewnić stały dopływ lepszych i wartościowszych tekstów estradowych. Bo jak dziś żądać od aktora, by wydał na zakup nowego monologu 2.000 złotych, jeśli „Estrada” może mu zaoferować — i to w tej chwili też jedynie nielicznym — przeciętnie 10 do 12 imprez rocznie, za łączne honorarium w wysokości ok. 4.000 zł? Który aktor zgodzi się w obecnej sy-

tacji kupować po pół roku nowe teksty, uczyć się ich, niekiedy szyc do nich nowe kostiumy lub nabywać rekwizyty i wreszcie wykonywać je dla publiczności? Jak można oczekiwać, by przy obecnym faktycznym opanowaniu rynku estradowego w Łodzi przez „dzikich” impresariów — aktorzy nie brali już udziału w ich imprezach?

Bądźmy w ocenie tych spraw realistami.

TADEUSZ SŁUPECKI



go oraz jedną rolę w skeczu, a córka-podłotek może akompaniować na pianinie nawet primadonnom łódzkiej Operetki. Toteż w rezultacie aktor biorący udział w imprezie zarabia przeciętnie 250-400 złotych, gdy organizator potrafi zgarnąć tysiączek i dwa. Jeśli przy powtarzającym się kilka razy do roku nasileniu zapotrzebowania na tego typu imprezy (Święto Kobiet, 1 Maja, 22 Lipca, Obchody ku czci Rewolucji Październikowej, akcja choinkowa itp.) organizator zalapie za każdym razem choć z 8-10 imprez... to proszę sobie policzyć. I nie dziw się, że ludzie z wielu łódzkich zakładów pracy unikają jak mogą Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych, a wołają „dzikich” impresariów, którzy umieją się odwzajemnić za „zamówienie”.

W tym także tkwi chyba źródło zdarzających się w praktyce „Estrady” paradoksów. Np. takich:

W marcu ub. roku mieszczące się tuż pod bokiem „Estrady” ZPB im. Barlickiego zwróciły się do tej instytucji o zorganizowanie występów na Święto Kobiet za pośrednictwem... organizatorki dzikich imprez, p. N. Owa pani chciała nakłonić „Estradę” do udzielenia jej „prowizji” za pośrednictwo oraz wpisania do r-ku dla tych zakładów — za zgodą przedstawicielki tamtejszej Ligi Kobiet — honorarium dla swego syna, rzekomo za akompaniament. Powtarzam; rzekomo, bo oprócz owego syna w imprezie miał wystąpić i również pobrać honorarium — rzeczywisty akompaniator. Kiedy w tej sprawie zatelefonowaliśmy do dyrektora zakładów i zwrócono uwagę na fikcyjność wydatku na pierwszego akompaniatora — dyrektor widać solidnie rągnął ową przedstawicielkę kobiet,



niedocenianiu wagi społecznej tak licznych przecież w naszym mieście i województwie imprez tego typu przez poprzednich kierowników artystycznych tej instytucji, którzy montowanie programu „części artystycznych w drugim co do wielkości mieście Polski pozostawili... pracownikom administracyjnym. Od 2 lat jednak — imprezy okolicznościowe „Estrady” montowane są z pełną troską o ich artystyczny poziom.

Czy dzisiejsza anarchia imprezowa na terenie Łodzi istniała po wojnie zawsze? Nie. Przed 9-10 laty łódzka „Estrada” na każde święto 1 Maja czy 22 Lipca urządziła setkę a czasem i więcej tego typu imprez — dziś przeciętnie około... 10! (bez wliczania w tę ilość imprez z terenu woj. łódzkiego). Wskutek osłabienia uwagi poprzednich władz miejskich na tym odcinu życia kulturalnego Łodzi, braku wyraźnej określonych przepisów, względnie chwytnej ich interpretacji, wreszcie

sedno rzeczy
MARIAN PIECHAL
POWRÓT
do
JAMY

Taki tytuł nosi wydana przed kilku dniami uroczą książka Jana Pawła Gawlika. Tylko, że słowo „Jama” pisane jest w niej z dużej litery. Czemu? Bo chodzi o słynną w Krakowie „Jamę Michalikową”, miejsce narodzin nie mniej słynnego „Zielonego Balonika”, głośnego kabaretu satyrycznego Młodej Polski. Już Boy-Zeleński opisał ją z niezwykłym humorem w swym niezwykłym eseju-wspomnieniu „Znasz-li ten kraj?” Zaś jego nie przedaw-

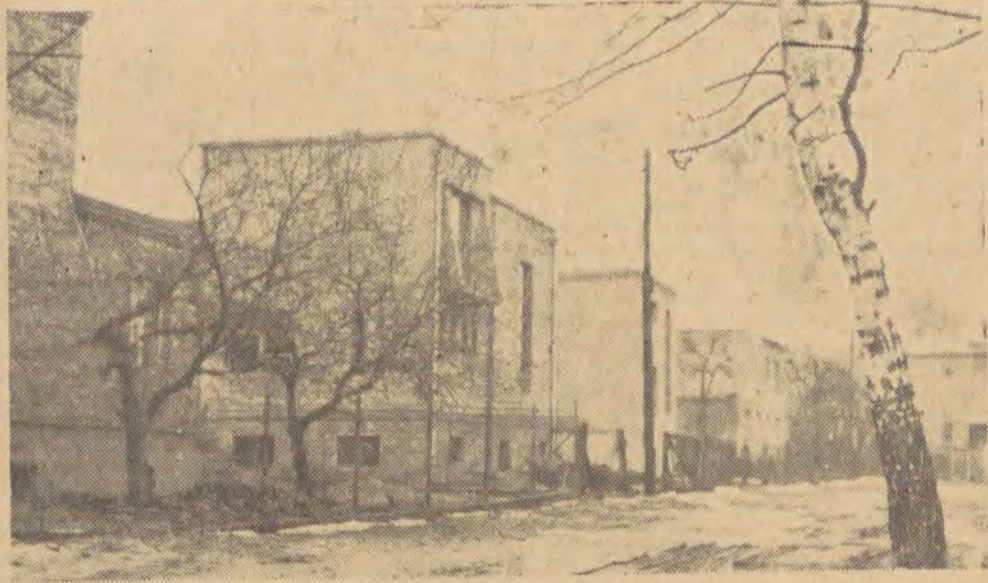
nione jeszcze „Słówka” to główne teksty „Zielonego Balonika” tam właśnie w kształcie aktualnej szopki społeczno-obyczajowej inscenizowane.

Właściwą zawartość i wartość tej książki stanowi chyba nie treść słowna, lecz zbiór ilustracji, reprodukcji, fotografii i barwnych wkładów, projektów szopkowych figur i karykatur, wybranych i dobranych logicznie i z niezawodnym smakiem przez autora oraz Daniela Mroza, zna-

nego nam już chlubnie z innych tego rodzaju stylowych wydawnictw artystycznych. Psuje natomiast całą edycję niesłusowna i zbyt kusa oprawa introligatorska. Ale to na marginesie.

Sedno rzeczy w tym, że książkę tę można uważać za pewnego rodzaju ilustracyjny załącznik do obu książek Boya na ten sam temat, to znaczy na temat „Jamy Michalikowej” i „Zielonego Balonika”. Załącznik, ale i zarazem rewizjonistyczny obrachunek. Gdyż jak wynika z jej treści Boy-Zeleński bardzo dużo nadrobił i nabujał na temat, o którym pisał. Burząc jedną legendę, stworzył na jej miejscu inną, własną — a że bardziej sugestywną, to nie znaczy, że więcej prawdziwą. Z tą Boyowską legendą przesadzoną o wiele co do jej znaczenia i zasięgu społecznego walczyli jeszcze za życia Boya żywi bywalcy „Jamy Michalikowej” i uczestnicy oraz świadkowie „Zielonego Balonika”, jak znani krytycy Wilhelm Feldman, Adam Grzymała-Siedlecki, a także wielu innych, po ostatniej wojnie znany lubownik starego Krakowa i niepośledni znawca jego dzieł, autor licznych lajonikowych sztuk i widowisk, Adam Polewka.

Doceniając Boya-Zeleńskiego jako wielkiego, choć bardzo nierównego, tłumacza z literatury francuskiej, nigdy nie podzielałem owczego kultu



Fot. Eka

Zachwaszczony OLIMP

Dokończenie
ze str. 1

dokąd nie przyjeżdżają reporterzy, żeby chwycić życie na gorąco (bo takiego tu nie ma), co najwyżej kronikarze, żeby odnotować, że jest taki Julianów. Do dzielnicy, która tylko z zewnątrz, póki się do niej tęskni, wydaje się jednolita, a która właściwie nie ma żadnego wspólnego szlaku. Nie zauważyli, biedacy, że to już nie ten sam Julianów. A raczej, że oni, patrząc na tę ziemię okiem zdobywców a nie marzycieli, poszli w górę, że poszła w górę cała Łódź — a tylko jeden Julianów pozostał w miejscu.

NIE WYBIERALI SOBIE DZIELNICY

Kiedy inżynier Begale, budowniczy z Julianowa z lat trzydziestych, wracał do siebie w parę dni po wyzwoleniu Łodzi, jego willa była już zajęta, a z parteru dwóch gentlemanów wyniosło szafę biblioteczną. Nazajutrz po

wyjściu Niemców, za okupacji jedynych mieszkańców tej dzielnicy, a i przedtem gęsto tutaj osiadłych, rzuciła się na opuszczone wille fala szabrowników i po prostu takich, którzy nie mieli gdzie mieszkać. „To była już wtedy nie ta sama dzielnica. Nie schludna, małeńkie państwka o paruset metrach powierzchni i granicy z porządnym parkanem, ale prowizorka mieszkania byle jak, byle do jutra, byle groza nie wyłoży — mówi siwowłósy inżynier. — Wykrawałem tu działki dla ludności, których do wyboru Julianowa skłaniała pozycja społeczna, materialna, względy klimatyczne itd. Teraz przyszedł, kto był bliżej, nie orientując się nawet, co można swobodnie zajmować, bo ponemieckie, a gdzie właściciel wróci. Do parku, chluby Julianowa, posyłają dzieci po trawę dla królików, sprowadzili się tu z całą hodowlą”. Starzy mieszkańcy patrzeli na to bezsilni. Przed wojną, oho! przed wojną, fiszę w zarządaniu miastem i przemyśle, znaleźliby jakiś sposób. Ale nowy ustrój odstawił ich na boczny tor, pozbawił po-

zycji i wpływów, zamiast karakulów i dyrektorskich pensji dał nauszniki, emeryturki, a willa pozostała jedyną drażniącą pamiątką minionej świetności. Trwali więc w bezsilnym, przymusowym sąsiedztwie z tymi nowymi, upojonymi zdobyciem szczytu społecznego, nie usiłującymi bynajmniej siebie do podciągnięcia, ale — wprost przeciwnie — zniwelować go do poziomu swoich przyzwyczajęń.

„Sadzonki? Kto dziś kupuje kwiaty? — dziwi się naiwności stary ogrodnik z ulicy Biegańskiego — przed wojną Towarzystwo Przyjaciół Julianowa kupowało u mnie dwa, trzy tysiące szepców róż; dziś? Po pół kilo ogórków”.

Na oko, bez jednego słowa poznać można tych nowych julianówiaków, tych, co kupują ogórki (bo u nich ogórki porosły chwastem); krzywy, drewniany plot, nie domknięta brama, brak tynku, wybite gdzieś okno. Oni sami chodzą z rękami w kieszeniach, a bo to ich co obchodzi, nie wiedzą gdzie Małwowa, choć to jedna ulica obok, oni znają drogę do przystanku, tramwajem do

śródmieścia i tam od „Delfina” do „Turystycznej”.

Gdyby im zwrócić uwagę, że przecież są mieszkańcami Julianowa, że powinni coś dla niego — odpowiedzą, że dziś nikt nie mieszka tam, gdzie chce, ale tam, gdzie ma jakiś kąt. „W dzisiejszych czasach jest się stąd, gdzie się pruje, a na Julianów się tylko wraca po pracy”.

Ale prawo lokalowe zaadaptowało tych nowych, pozwoliło im mieszkać w willach po 10 zł miesięcznie, jakby nigdy nie, jakby pochylone płoty nie domagały się podparcia ich pieniędzmi. Na Dolach, na Rokiccu, na Kozinach państwo dawało mieszkania za darmo: czemuż oni, akurat na Julianowie mieliby inwestować? Do tego obowiązany jest właściciel; ale właściciel ani myślał być dojmym dobroczyńcą. Zaciśkały się pięści, zagryzały wargi, a wille niszczały.

DRUGA FALA DIRTY COLLARS

Ale Łódź, zajęta swoimi sprawami i wpadająca tylko w niedzielne poranki do julanowskiego pięknego parku, nie zauważała poprzez szpalery drzew tego, co działo się w dzielnicy. W jej pamięci pozostał Julianów miejscem wiecznej szczęśliwości, zielonym rajem rozpostawanym kość i głębokiego oddechu przepychu mieszkającego i eleganckich spacerów; wciąż jeszcze dla niektórych dostać się tu — znaczyło awansować. I wciąż, przez wszelkie szczebeliny, przedostawali się tu najsprytniejsi i najzamożniejsi, ci, którzy pieniądzem otwierali wszystkie drzwi. Nawet wtedy, kiedy nie było wolno, równoległe z budynkiem szkoły przy ul. Sowińskiego powstawały naprzeciw niej dwie wille, budowane z tego samego materiału i budujące przez tych samych murarzy. A potem, od roku 1956 poczynając, lud zaczął zdobywać Julianów po raz drugi: szeroka lawa budowali sobie prości ludzie wille po pół miliona złotych. Do historii dzielnicy przejdzie ślusarz Linkowski, pierwszy z nich, człowiek o opinii najłżejszego krezusa Łodzi: jego bogactwa i dość brzydka willa stoi na rogu Zgierskiej i Teresy. Dalej budowali się na przecznicy Biegańskiego, na Alei Róż, jak pan Roman, dalej za parkiem na Jaworowej, gdzie można było za 50 tysięcy kupić działkę budowlaną z ogórkiem. Z państwowych budów zaczęły ciągnąć na Julianów sznur furmanek, po kolorach tynków julanowskich wille można było czytać jak tynkuje ZOR, tylko style architektoniczne były kradzione z czego innego.

A jednak — jednak byli to prości ludzie, wzbogaceni prostacy. Wybrał tę dzielnicę, bo im imponowała i ten styl życia, bo najbardziej odpowiadał ich filozofii: każdy na własną rękę, każdy w swoich ścianach, niezależnie od siebie nawzajem i od pozostałych. Związał inicjatywę prywatną (bo tylko tacy się budowali, przetykając lukę między staro-inteligenckimi willami) i gnął do tych okopów Świętej Trójcy, separujących przed wojną zamożne mieszczaństwo od robotniczego miasta, dziś — od miasta socjalistycznego ludzi, którzy nie mają doń zaufania. W blokach miejskich jest wspólne wejście, wspólne schody, wspólna piaskownica dla dzieci i współsamorząd mieszkańców; tutaj każdy jest panem siebie, od prywatnych poglądów po prywatną ciepłownię w piwnicy. Gdzieś indziej można by stworzyć sobie, jak właściciel domku z ulicy Folwarcznej, mieszkanie bez okien na parterze, żeby nikt nie zajął do środka?

Ci nowi napływający, w przeciwieństwie do tuż-powojennych, chcieli poddać się kulturowym wpływom sąsiadów i nie tylko miejscem zamieszkania, ale i obyczajami stopić w jedno z inteligencją. Ubierać się jak tamci: kapelusze są tu częstsze niż gdziekolwiek. Być kulturalnym

jak tamci: na każdym dachu antena telewizyjna, choć nie zawsze wewnątrz jest odbornik. Chorować jak tamci: lekarze pogołowia stąd mają najwięcej przedwczesnych wizań, najwięcej leżących w łóżku na wszelki wypadek. I wreszcie, najważniejsze, wykierować dzieci jak tamci: wykształceniem zatrzeć ślady ich drogi do Julianowa, żeby nie były tu przybyszami i żeby nie musiały obyczajami upodabniać się do innych, ale samemu je dyktować.

Tym nowym, tym, którzy wdarli się na zachwaszczony Olimp wydawało się, że złapał Pana Boga za brodę.

TO JEST TAKIE MIASTO

Mieszkają więc tak: producent chwały, były profesor uniwersytetu z sublokotorem felcerem, mechanik samochodowy, rzeźbiarz, obciągacz guzików, lekarz (leż z kimś dokwaterowanym). W oczach Łodzi, zadymionej, stłoczonej, zupełnie innej niż ta jej część, łączą się w jedno wspólne pojęcie: „ci z Julianowa”. Ci z Julianowa, to ci odgradzeni od nas, inni niż my i ci z forsy... Och, nie wszyscy marzą, żeby się tam przenieść, to głównie ci, których forsa rozdyma i którzy za wszelką cenę chcą się odróżnić od masy. Takich bardzo się w Łodzi nie lubi.

W ogóle w Łodzi nie lubi się takich, którzy na co dzień nie udowadniają racji swojego istnienia: kilogramami przędzy, metrami tkanin, ilością wyleczonych czy naukowych, ale konkretem, efektem namacalnym. Przez całą niedługą historię miasta robotniczego, aż za bardzo robotniczego, jedyną legitymacją była praca pojmowana bardzo do różnie. Kto nie może się nią wykazać, łatwo staje się w oczach ogółu pasożytem: równie dobrze handlarz, jak humanista, nawet inżynier, jeśli dłużej się w teorii, nawet lekarz, jeśli szepci tylko szczerzy. Nauczyciele twierdzą, że łodzianom brak kultury bycia, owych „dziękuję” i „przepraszam” w miejsce przekleństw: bo to nie jest cecha uważana za potrzebną. Dzieci wyższych uczelni zastało Łódź psychicznie nie przygotowaną: mawiano jeszcze niedawno temu, że uniwersytet łódzki, to wrzód na ciele proletariatu i stokroć mniej martwiono się o jego poziom, niż o pozycję ŁKS-u w I-gowej tabeli.

Co Łódź daje tej dzielnicy? Wszystko: dowozi ją tramwajem do śródmieścia, tam karmi i poi, zaopatruje we wszelkie dobra, jeszcze służy filmem albo teatrem. A co Julianów daje Łodzi? Dwa szpitale, park i kilka tysięcy pasażerów, „tych z Julianowa”.

Przychodzą do Rady Narodowej właściciele julanowskich wille: po blachę, po rury, po drzewo. „Co? — wydzwiają urzędnicy — Wam, z Julianowa, zza pieca od Pana Boga jeszcze dawać materiały?” Starają się o pawilon sklepowy, bo po głupia sól trzeba biegać aż na Lagiewnicką. „Budować, u was? Macie wszyscy lodówki, przywoźcie sobie z miasta”. Czasem różnicuje się mieszkańców według wartości społecznej: czy garaż przeznaczyć na samochód dla pracownika naukowego, czy na warsztat chemiczny dla rzemieślnika. „I amten? przynajmniej obywatel, podatki płaci, państwo coś z niego ma, a z was? — gr: i urzędnik — Was musi jeszcze utrzymywać!”

Nie tylko przez takie opinie stłoczeni są w jedno. Kiedy emerytowany, prokurator i zdolny neurolog — zrymają się spacerując po swojej dzielnicy, na małą rozpiętość zarobków, na krepowanie indywidualnego talentu, na brak swobody finansowej — parę kroków dalej napotykalają domek półpiśmiennego roszka. Jeśli swoboda rozbienia forsy — to i dla niego, jeśli oni wadzą się po dziesięć — to on dwadzieścia tysięcy miesięcznie. A jeśli nie, jeśli podporządkować się interesowi społecznemu, to naj-

pierw domy dla wszystkich, a dopiero potem dla każdego, najpierw bloki, potem wille; i jeśli nie, to z czego ponosić wysokie koszty utrzymania takich domów, w jakich oni mieszkają?

Ta dzielnica i te wille to mieszkania dla ludzi, którzy są skłonni dużo płacić za luksus, którym się ten luksus oplaci. Zalety, które w oczach innych są wadami: daleko tramwaj, daleko sklepy, żadnego kina czy teatru, spokój, cisza. Miesięcznie kosztuje to do tysiąca złotych i ciągle deptanie za byle głupstwem: rzecież willa jest z istoty swojej antyposępowa, bo nie poddaje się żadnemu podziałowi pracy, żadnemu ZBM, który zreperuje wspólny dach, czy oczyści wspólne podwórko. Komu się oplaci za cenę komfortu tkwić w regresie, albo kogo stać na taki snobizm — proszę bardzo. Ale kto mieszka tu z przypadku na pracach przymusowego sublokatora — pasuje do Julianowa jak sól do herbaty.

Ostatnio pojawiła się trzecia droga dopływu nowej krwi do tej dzielnicy ostatnio, czyli od czasu, kiedy miasto zaczęło sprzedawać na raty wille ponemieckie, przede wszystkim samym ich mieszkańcom. To właśnie ludzie, dla których atrakcje stanowiły powyższe wa-ory, a więc naukowcy, lekarze, filmowcy: intensywna praca i intensywny wypoczynek. Nie mogłoby sobie pozwolić na postawienie wille za pół miliona, jak tamci (choć łatwiej byłoby im wylumaczyć inspektorom skarbowym pochodzenie tych pieniędzy), ale spłacać tysiąc złotych miesięcznie... W ten sposób, po cichu i najmniej licząc się z sąsiadkami. Wyrzutem sumienia są tylko dzieci: rodzice nie potrafili zdobyć się na wspólne wykrojenie dla nich kawałka mejsca do życia, pozostawiając wiernymi panującym zasadom indywidualizmu od kolebki po trumnę. Owszem, jest koło Lagiewnickiej prowizoryczne boisko, ale tablica, uprzedza złudzenia: to chłopcy z dalej ku Marysinowi położonej kolonii tramwajarzy. Podobnie zresztą 15 lat temu linię tramwajową, przebiegającą obok Julianowa, budowali czynnym społecznym mieszkańcy Marysina. Tutejsi nie zrobili nic.

ZYCIE PRZECHODZI OBOK

Każdy sobie rzepkę skrobie, jeden, bo ją dla oszczędności zasadził w ogródku, drugi, bo nie obchodzi go życie sąsiadki. Wyrzutem sumienia są tylko dzieci: rodzice nie potrafili zdobyć się na wspólne wykrojenie dla nich kawałka mejsca do życia, pozostawiając wiernymi panującym zasadom indywidualizmu od kolebki po trumnę. Owszem, jest koło Lagiewnickiej prowizoryczne boisko, ale tablica, uprzedza złudzenia: to chłopcy z dalej ku Marysinowi położonej kolonii tramwajarzy. Podobnie zresztą 15 lat temu linię tramwajową, przebiegającą obok Julianowa, budowali czynnym społecznym mieszkańcy Marysina. Tutejsi nie zrobili nic.

Tutejsi młodzi ludzie z ochotą wyrwywają się ze swojej dzielnicy: „to jest staw” — mówią. Największą i jedyną rewolucję w siedemnaścieleciu przeżył Julianów, kiedy zbudowano szpital ginekologiczny na Przyrodniczej; zarobił na tym gaz dla kilku ulic i postój taksówek. Ale od tej pory nie. Paleczki architektów i planistów, wytyczające kierunki wielkiego fermentu, który ma rozsądzić, przenicować, zmienić nie do poznania całą Łódź i przemieścić najatrakcyjniejsze jej punkty okrajają Julianów: tutaj niczego nie potrzeba i tu nie się nie stanie. W śródmieściu będą wyburzać, ludzie dostaną nowe mieszkania, Zubardź posunie się ku północy i zyska nową perspektywę, Rokicie przetrnie Aleję Politechnik i szybkim tramwajem — a Julianów zostanie tak samo jak przedtem nieufnie okopany przed rzeką Łódź

ANDRZEJ-KRZYSZTOF
WROBLEWSKI

odgłosy str. 7

Boya jako publicysta. Rzeczona jest błędami nie tylko gramatycznymi, ale grzeszy wielu przykro dziś brzmiałyymi barbaryzmami („okna dające na ogród”, „ten fakt datuje nie od dziś” itp.), pomijając nieścisłości, a nawet niechlujność niektórych przekładów. Na płyciznę jego ujęć i wątków zwracał uwagę nie tylko Karol Irzykowski w swym głośnym tuż przed wojną „Beniaminku”, a jego recenzje teatralne, na których rzekomą doskonałość tak często lubią powoływać się aktorzy, to przeważnie streszczenia sztuk, a nie ocena inscenizacji i gry aktorskiej. Oslawiona pasja polemiczna Boya sprowadzała się zazwyczaj do utarczek z uczonymi prostaczkami lub z prymitywami umysłowymi w gatunku osławionego księdza Pirożyńskiego, nigdy zaś o jakieś głębsze idee i problemy z krytykami i publicystami z prawdziwego zdarzenia, jak SŁ. Brzozowski, K. Irzykowski, W. Borowy, J. N. Miller lub Stefan Kolaczkowski. To raczej oni próbowali z nim polemizować, a on im wymyślał, trywalizując każde zagadnienie.

Raził wielu i razi do dziś wszedobylski, że tak powiem, autyzm Boya. A szczególnie jego mitomania, którą uprawiał z podziwu godną zręcznością pod płaszczykiem akcji antybrązowniczej. Odbrazowywany przez Boya Mickiewicz, toż to dopiero wit à rebours!

Tak samo Sobieski! Tak samo „Zielony Balonik”!

Słusznie zatem pisze autor „Powrotu do Jany”, że „naśladownictwo latwizny „Zielonego Balonika” nie ograniczyło się do kabaretu. Przeszło do obyczaju i do literatury. Stało się problemem. I tutaj również patronował mu Boy... Większość społecznych reform Boya, przy całej ich oczywistości, choć częściowej racji, wyrosła z owej łatwości, z jaką patrzono na „Baloniku” na najbardziej dramatyczne sprawy życia”. Oto prawda o „Zielonym Baloniku” i jego roli.

A tymczasem Boy w „Znasz-li ten kraj?” porównywa znaczenie społeczne „Zielonego Balonika” z doniosłością rewolucyjną 1905 roku. To się nazywa robić z bańki mydlanej pocisk międzyplanetarny. W swej żywiołowej mitomanii tylko on tak potrafił!

Książka J. P. Gawlika jest więc zdecydowanie antybrązownicza w stosunku do pięknej, lecz nieprawdziwej legendy Boya. Zawiera materiał autentyczny, a załączone ilustracje wobec zguby i rozproszenia większości pierwotnych mają wartość dokumentów historycznych.

Dzieje „Zielonego Balonika” (od 1905 do 1912) to zaledwie fragment dziejów „Jamy Michalikowej” (od 1895 do 1935). Małemu przypadkowi okazuje być kilkakrotnie w „Jamy Michalikowej” przed jej dewastacyjną licytacją w

roku 1929. Spotykalimy się w niej z Marianem Czuchnowskim, znanym poetą krakowskim, rozmówionym w tej „Jamy” i z Kazimierzem Czachowskim, znanym krytykiem. Służyli mi w wnikliwych cicerone'ów po osobliwych zabytkach zielono-balonikowych w tym słynnym lokalu. Dziś z tych zaiste bezcennych zabytków historycznych zostały zaledwie szczątki, zresztą spłowiałe i duch z nich uleciał bezpowrotnie.

Wtedy oczywiście nie przychodziło mi na myśl, że przecież ta „Jama” to symbol jakiejś istotnej tęsknoty przerafinowanych intelektualnie umysłów do prawdziwych pierwotnych jam. Myślę, że „Jama Michalikowa”, to była antycypacja wszystkich dzisiejszych stodoł i piwnic, gdzie tęsknota do prymitywu i pierwotności znajduje naturalne swoje ujście i wyraz. Tylko, że tamta tęsknota do jaskiń pochodziła z nadmiaru kultury, a ta dzisiejsza z niedomiaru. Tak więc ten niby supernowoczesny powrót do jamy to wcale nie wynalazek naszej jazzowej młodzieży, lecz zmurszałej ich prababki — Młodej Polski. Nie wiedzą, ubodzy duchem, ile w ich rzekomej nowości jest imitowanej bezwiednie i odruchowo starzyzny.

Niech przeczytają książkę Jana Pawła Gawlika, to się dowiedzą.

MARIAN PIECHAL



Red. Naczelny Łódzkiej Rozgłośni PR — Kazimierz Zygmund

PYTANIA do MIKROFONU

BILANS ROKU

Program Rozgłośni Łódzkiej wynosi przeciętnie cztery godziny dziennie. Słowo w tym programie zajmuje blisko 45 procent, a więc mniej więcej tyle, ile zawiera cztero lub pięcioarkuszowa książka. Właśnie na to dzienne wydanie osiemdziesiąt stronicej książki składają się audycje słowne: redakcji literackiej, społeczno-ekonomicznej, łódzkiego dziennika radiowego, artystycznej. Redakcja literacka opublikowała w ciągu roku utwory 130 autorów. W audycjach brało udział 320 aktorów i innych wykonawców. A inne audycje? „Wesoły autobus” dał np. w ciągu roku 14 audycji premierowych, oraz 47 pozastudenckich i to nie tylko w Łodzi. „Wesoły autobus” odwiedził Mazury i Opolszczyznę. Hrubeszów, Nowy Targ, Stalową Wołę, Płock, Włocławek i inne miasta. Występy estradowe „Programu z dywanikiem” odbyły się w Gdańsku, w Fabryce Samochodów Ciężarowych pod Lublinem, w Grudziądzu, w Tomaszowie, w Kaliszu, w Zabrzu. Oczywiście, są

wsł na antenie polskiego radia. Skoro tylko usłyszę znaną mi melodię, to żebym nawet był chory, czuję się zdrow i pełen radości i zadowolenia. Pragnąłbym jeszcze w swym życiu widzieć w pełnym składzie ten wóz wesoly...” „Słuchamy audycji Polskiego Radia, wprost zazdrość nas bierze, dlaczego „Wesoły autobus” nie mógłby do nas zawitać”. Listy pochodzą ze wsł, miasteczek, od osób prywatnych, instytucji, kół Związków Młodzieży Wiejskiej. Na podstawie tych wypowiedzi (a takie na podstawie bezpośrednich spotkań ze słuchaczami i ankiet) można uzyskać ogólną orientację w upodobaniach i postawach radiosłuchaczy. Dużą popularnością cieszy się „Wesoły autobus”. Coraz większe uznanie zyskuje „Program z dywanikiem”. Bardzo dobrze są odbierane reportaże literackie „Z wędrowek po kraju”, „Na piastowskim szlaku”. Pozytywnie słuchacze kwitują reportaże dzwiękowe Redakcji Literackiej. Równie dobrze przyjmowane są audycje „Amatorskie zespoły przed mikrofonem”, „Młodych muzyków” i „Łódzkich solist-



„Kierowca” — „Wesołego autobusu” — Józef Mozga

to tylko fragmenty bilansu działalności radia w ciągu jednego roku.

ów”. Słuchacze nieźle oceniają audycje oświatowe oraz „Filmową paletę”.

CZEGO SŁUCHACZ CHCE I CO SŁUCHACZ LUBI?

Nie wiem, ilu słuchaczy zamyka z trzaskiem aparat z chwilą wywołania sygnału łódzkiej rozgłośni. Wiem natomiast, że codziennie napływają do rozgłośni dziesiątki listów, których autorzy kwitują z uznaniem poszczególne audycje. Listy te świadczą o bliskim, bezpośrednim stosunku między radiem a słuchaczem. „Wiele razy słuchałem Waszych audycji, co jedna to piękniejsza...” „Wesoły autobus” ja uważam za najpiękniejszą audycję dla

WERYFIKACJA OPINII SŁUCHACZY

W ubiegłym roku z inicjatywy redakcji literackiej został zorganizowany w Łęczycy konkurs na sztukę ludową, który przyniósł bardzo ciekawe rezultaty. W konkursie ujawniono wiele interesujących talentów (rzeźbiarz Ireneusz Kamiński). Redakcja ta ogłosiła dużo ciekawych tekstów. Dział muzyczny utrzymuje żywe kontakty z terenem poprzez działalność antenową i publiczną akcję koncertową. Takich przykładów można podać więcej.

Ale napisać, że taka czy inna redakcja stawia sobie za cel zaspokajanie potrzeb kulturalnych słuchaczy i z drugiej strony kształtowanie tych potrzeb, podnoszenie poziomu upodobań artystycznych — to

Dla Roberta Sherwooda historia przedstawia się nie zwykle prosto. Jeśli istnieje jakiegoś nie dość wyraźnie wyjaśnione zdarzenie historyczne, jak np. nieoczekiwane odstępstwo Hannibala od oblężenia Rzymu, to Sherwood powiada: „cherche la Femme”, czyli stało się to za sprawką kobiecą. Obok Sherwooda zresztą znamy całą plejadę dramaturgów — swojego czasu dość modnych na Zachodzie — którzy mieli podobnie naiwne spojrzenie na świat. W Łodzi oglądaliśmy w ubiegłym roku w Teatrze Nowym „Judyta” Peyret Chapuis, sztukę równie nieudaną co „Droga do Rzymu” Sherwooda. Jest ciekawym zjawiskiem, że tego typu dramatopisarze posługują się zawsze tym samym banalnym schematkiem. U Peyret Chapuis, z obłożonego przez Holofernesa miasta wychodzi Judyta, dostaje się do namiotu Holofernesa, i przegadawszy z nim całą noc ratuje swoje miasto. U Sherwooda czyni to samo Amytis, żona dyktatora Rzymu. Wchodzi ona do namiotu Hannibala i mocą swych wdzięków oraz intelektualnych igraszek sprawia, że wódz ten odstępuje od oblężenia Wiecznego Miasta.

Jeżeli oglądam sztukę tego rodzaju pisarzy, zawsze zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje, że choć i w naszych czasach bywają władcy nie mniej potężni i okrutni jak Hannibal czy Holofernes, przecież nie słychać jakoś o współczesnych Judytach i Amytis? Czyżby nasze kobiety nie posiadały przygotowania intelektualnego dla prowadzenia noenych rozmów z wodzami armii? Jakaż byłaby to rozkosz przeczytać u jakiegoś Sherwooda, że nasza Zosia, czy Kasia podczas długiej nocnej rozmowy przekonała Hitlera, aby odstąpił od oblężenia Moskwy? Myślę, że nie zdarzają się dziś takie wypadki, ponieważ nigdy się nie zdarzały. Nie było nigdy ani takich Judyt czy Amytis, ani takich Holofernesów czy Hannibalów. Zostali wymyśleni na użytek Biblii i współczesnych dramaturgów z Broadwayu.

Bo z drugiej strony kładzie się do głowy naszej młodzieży skomplikowane zagadnienie roli jednostki w historii i nawet uczeń w VIII czy IX klasie mocno już wątpli, czy aby wojna pod Troją toczyła się rzeczywiście tylko o piękną Helenę. Dobrze czy źle recenzję z teatru można napisać dlatego, że ta czy inna aktorka ma ładne biodra, ale chyba nie na tej zasadzie prowadzi się lub przerywa także wielkie wojny. Wydaje mi się, że nawet ludzie dalecy od marksizmu wyjdą ze sztuki Sherwooda bardzo zdegustowani. Razić musi zwłargaryzowany rysunek Hannibala, tania motywacja jego postępków.

„Precz z prawdą historyczną, niech żyje człowiek” — wola Sherwood. I nie ma racji. Wraz z prawdą historyczną gubi się bowiem także człowiek. W świetle prawdy historycznej wielkie historyczne postacie rysują się zawsze najpełniej, prawda historyczna uoacza złozone ich sylwetki i złożoność ich postępków. Odrzucenie prawdy trywializuje, upraszcza, jak to się stało u Sherwooda. Konia z rzedem temu, kto wyjaśni mi, dlaczego właściwie Hannibal odstąpił od oblężenia Rzymu, czym dał się przekonać Amytis? — „Trzeba umieć rezygnować” — powiada Hannibal do swych wodzów, powtarzając słowa Amytis. Ale słowa te przecież nic nie znaczą. Można powiedzieć odwrotnie i też będzie dobrze. Niby dlaczego „trzeba umieć rezygnować”? Bo „Rzym jest małą plamką”? To także nie ma znaczenia. Hannibal rezygnuje ze zdobycia Rzymu, rezygnuje z pięknej kobiety, rezygnuje ze wszystkiego. Dlaczego? Naprawdę — dlaczego?

Powiem prosto. Ta sztuczka została napisana dla pewnego rodzaju amerykańskiej publiczności. Jest w niej trochę nieporozumień, odrobina pseudofilozofii, parę hasel pacyfistycznych, trochę seksu i wszystko „o key”, to znaczy żona wraca do męża, Hannibal odstępuje od miasta, uciemiężeni niewolnicy wracają do swych domów i mogą się pobrać, klawo jest, bijmy brawo. Nie, naprawdę, nie powinno się grać już takich sztuk, gdy został napisany „Romeo i Julia” Dürrenmatta.

W Teatrze Powszechnym dawno Sherwoodowi imponująca oprawa plastyczna Mariana Stańczaka; uczyniono wielkie widowisko z fajerwerkami, czyli kadzielnicami pełnymi rzezywistego ognia. Już w „Błękitnym patrolu” razła mnie u Romana Sykały przesadna skłonność do weryzmu, tym razem znowu wydała mi się ona niewłaściwa. Po prostu wydaje się, jakby Sykała nie miał zaufania do teatralnych środków wyrazu, do słowa i gestu, i wspiera je najróżniejszymi sztuczkami. Teraz jednak, po przeczytaniu wywiadu, jaki udzielił „Głosowi Robotniczemu”, zaczynam pojmować jego koncepcje. W rywalizacji między teatrem, filmem, telewizją i radiem — sądzi Roman Sykała — teatr musi uciekać się do widowisk barwnych, ogromnych, pełnych przepychu. W tym duchu dokonał on inscenizacji Sherwooda. Polemizując z tak pojętą koncepcją teatru, postaram się jednak oddać reżyserowi „Drogi

do Rzymu” sprawiedliwość, wyrazić podziw dla jego inscenizatorskiego talentu.

Bo nie jest chyba tak, że przyszłość teatru leży w przepychu. To film walcząc z telewizją ucieka się do panoramy, do barwnych ogromnych widowisk kostiumowych pełnych statystów, pirotechniki itd. itp., które nie dają się pokazać na małym ekranie. Teatr przyszłości — moim zdaniem — to teatr intymnych wzruszeń, to przede wszystkim teatr dwuznaczności i aluzji, metafory i skrótu. Sfilmowany Ionesco, Beckett czy Genet albo... Arystofanes, natychmiast przestają być Ionesco, Beckett, czy Arystofanesem. Te rzeczy można oglądać tylko w teatrze. Z teatru odpadnie w końcu wszystko to, co jest w nim obecne, co wprowadzono do niego kiedyś, gdy teatr zastępował wszystkie inne, dziś wyodrębnione gatunki sztuki. Współczesny dramaturg, gdy przystępuje do pisania, stoi przed problemem: w jakim rodzaju

że właśnie tej barwności żąda dzisiejsza publiczność, zanim dorosnie do oglądania sztuk, które z myślą o przyszłym triumfie teatru powstają w laboratoriach współczesnych nowatorów? Dlatego bądźmy cierpliwi. Roman Sykała — zgodnie ze swoją teatralną koncepcją — dał Łodzi wspaniałe przedstawienie. Moim zdaniem, jako inscenizator przerósł Sherwooda-dramaturga, barwnością i ruchem swego przedstawienia zakrywając ubóstwo intelektualne sztuki. Sykała doskonale czuje teatr, w jego trzech ścianach potrafi oddać zadziwiająco dużo przestrzeni, aż żal, że nie chce się przelamać i odejść od weryzmu na rzecz sztuki intelektualnej. Wyobrażam sobie, jakby ją wzbogacił, wnosząc swoje wyczucie sceny, a także wielką umiejętność prowadzenia aktora.

Bo dobre aktorstwo stało się jedną z mocnych stron Teatru Powszechnego. W „Drodze do Rzymu” zaprezentowano nam cały wachlarz udanych aktorsko postaci. Przeurocza i pełna wdzięku, choć może za mało intelektualna (reprezentuje przecież grecki intelektualizm) — jest Anna Milewska jako Amytis. Chce się wierzyć, że gdyby Hannibal za cenę tej kobiety odstąpił od oblężenia Rzymu, byłoby to o wiele bardziej prawdopodobne niż pseudofilozoficzne mrzonki, które legły u podstawy jego nieoczekiwanej decyzji. Podobną mi się Zbigniew Koczanowicz jako dyktator Fabiusz Maksymus i Zbigniew Niewczas w roli Scypiona. Również i Zbigniew Płoszaj jako Hazdrubal dowiodł, że bardzo rozwija się aktorsko (interesujący był przecież już w „Kwiatkach Łódzkich”). Jerzy Kamas w roli Mago przerósł chyba Mariana Gamskiego, prezentującego postać Hannibala. Jak na mój gust był ten Hannibal za mało podbudowany psychologicznie, nie tworzył jakiegś określonej wyraznej sylwetki, ale to chyba i wina tekstu Sherwooda, autor chyba sam nie wiedział jaki jest jego Hannibal.

Z dużym uznaniem wymienić należy także i sporą grupę pozostałych wykonawców, a przede wszystkim: Janinę Jabłonowską, Bohdanę Sobiesiaka, Halinę Pawłowicz, Jana Rudnickiego, Mariana Nowaka, Wiesława Mirewicza, Brunona Bukowskiego, Mariana Wojtczaka, Mirosława Szonerta, Antoniego Żukowskiego.

Tak więc polemizując z założeniami teatralnymi Romana Sykały, polemizując z treścią sztuki Sherwooda, jednocześnie uznać trzeba, że Teatr Powszechny dał nam przedstawienie jednak niebanalne, o dużej randze artystycznej.

Robert E. Sherwood „Droga do Rzymu”. Prapremiera w Teatrze Powszechnym. Inscenizacja i reżyseria: Roman Sykała. Scenografia: Marian Stańczak. Muzyka: Tadeusz Paclorkiewicz.

Tak więc polemizując z założeniami teatralnymi Romana Sykały, polemizując z treścią sztuki Sherwooda, jednocześnie uznać trzeba, że Teatr Powszechny dał nam przedstawienie jednak niebanalne, o dużej randze artystycznej.

Robert E. Sherwood „Droga do Rzymu”. Prapremiera w Teatrze Powszechnym. Inscenizacja i reżyseria: Roman Sykała. Scenografia: Marian Stańczak. Muzyka: Tadeusz Paclorkiewicz.

ZBIGNIEW NIENACKI

„DROGA do RZYMU”

szuki zdoła wypowiedzieć się najpełniej? Jeśli jest tak, że to, co chce powiedzieć, równie dobrze można przekazać poprzez teatr, scenariusz filmowy czy telewizyjny, powinien napisać dla filmu czy telewizji. Dla teatru należy tworzyć tylko wówczas, gdy żaden inny gatunek nie zdoła znieść przekazywanych treści. Poza teatrem żaden inny gatunek sztuki nie uniesie wielkiej metafory w stylu „Norożca” Ionesco czy „Zab” Arystofanesa, a sfilmowany Sherwood będzie lepszy od Sherwooda teatralnego. I tu właśnie, w tej specyfice teatru leży — moim zdaniem — jego wielkość i jego wielki przyszły triumf.

A tymczasem? Tymczasem może właśnie rację ma Roman Sykała prezentując wielkie barwne widowisko? Mo-

chyba za mało. Trzeba by poddać sumiennej ocenie teksty radiowe. Trzeba by zbadać funkcję radia, nie tylko jako źródła informacji, ale też jego funkcję polityczno-wychowawczą, kulturalną i rozrywkową. Jak radio pomaga wypełniać tzw. „wolny czas”? Jaka jest jego rola w stosunku do kina, telewizji? Jaka funkcję spełnia radio właśnie w Łodzi, w mieście, które zwykło się uważać za „pustynię kulturalną”, a które tą pustynią nie jest. (Ta „pustynia” obok Warszawy posiada największą liczbę odbiorczych: ponad 220 na 1.000 mieszkańców). Do rozgłośni napływają setki listów. Co się dzieje z tą korespondencją? Przecież listy zawierają uwagi dotyczące programu. W jaki sposób redakcja wykorzystuje te uwagi? W jaki sposób weryfikują opinie słuchaczy?

UWAGI MALKONTENTA

Jest dobrze, ale czy tak dobrze, jak mówi bilans? Weźmy chociażby ten bardzo popularny „Wesoły autobus”. Czy można się podpisać pod każdym programem tej audycji? Czy od czasu do czasu nie daje się zauważyć w tym programie pewnego rodzaju ograniczenia wyboru tematów, powtarzające się schematy? Czy każdy program „Autobusu” jest godny oklasków? To znaczy, czy każdy następny jest coraz bardziej ambitny? Należy do typu malkontentów „pozytywnych”. Nie przekreślam dorobku „Wesołego autobusu”. Chcę tylko, żeby był coraz lepszy. To życzenie kieruję pod adresem naszej rozgłośni — i przed dniem radiowca — sądzę, że od wszystkich malkontentów — słuchaczy.



„Kierowca”, „Programu z dywanikiem” — Marian Jeżewski
TEKST: ZYGMUNT WALA
ZDJĘCIA: ZYGMUNT PROSZOWSKI

THE MOST IMPORTANT THINGS

There is nothing more important to life than the sun and... love. If (the sun) gives us heat, light, power and food and all the beauty of colour and form in nature.

The sun is a star. There are many thousands of stars in the sky that are like the sun. They are as large as the sun, as hot as the sun and contain the same chemical elements. The sun is a great mass of white hot matter. The temperature at the sun's centre is as high as 10,000,000 C°.

The sun is much nearer to us than other stars. That is why we think that it is bigger and brighter than other stars. The distance of the sun from the earth is as much as 150,000,000 kilometres. It is difficult to realize such a distance. But it is much more difficult to realize the distances of the stars which are millions and millions of kilometres still farther away.

To express these great distances the astronomers use a very much larger scale than kilometres. Nothing in the world moves faster than light. It moves at the rate of 300,000 kilometres per second. So the astronomer's unit of measure is one light year, the distance that light travels in one year.

This distance is a little less than 9,500,000 kilometres. Most of the stars are thousand light years away from the earth. It is hard to realize that these are not the greatest distances in the world.

But my star is not far away. She is waiting for me in front of my house. So I can not tell you about the second important thing. Mary is waiting, good-bye.

TADEUSZ PAPIER

MAGDALENA

Siedemnaście lat dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpływów grupki „złotej młodzieży”. Za namową Boruty Magda opuszcza rodziców. Następnie serią „występów” Magdy i jej kolegów. Ostatni — okradzenie Albina, warszawianka, który bawi „przejazdem” w Łodzi. Przywódca grupy Długiego jest czubrym nieostrożnym zachowaniem się kolegów.

liśmy się z Albinem, Długi zdjął okulary i zaczął kłać. U niego łatwo o cholery. To za darmo, powiada. „A to o sly, a to parszywe psyl — powiedział. — „Jak można być tak nieostrożnym! Wystarczy, żeby ten głupi amant poszedł do milicji. Przecież ich wyłowią bez trudu. Mordę skąd jednemu i drugiemu. Skuję mordę, jak Bożę kocham. U mnie musi być dyscyplina. Przysięgał! posłuszeństwo, muszą mnie słuchać”. Po raz pierwszy usłyszałam, że Długi odbierał od nich jakąś przysięgę. Bardzo mnie to zaciekawiło. Jak odbywała się ta przysięga? W jakich okolicznościach? Na co przysięgali? „Co ty mówisz, Długi? Jaką przysięgę?” — zapytałam. „Dowiesz się” — odparł Długi. — „Dzisiaj będziecie przysięgać ty i Krycha”. Nie podobał mi się jego ton, więc zawołałam: „Co ci znowu do głowy strzeliło, Długi?” Nie odpowiedział. Złożył aparat, zapalił papierosa i położył się na tapczanie. Leżał tak ze dwie minuty. Zgasił wreszcie niedopałek papierosa, poprawił na nosie okulary i utkwil swój nieru-

chomy wzrok w biały sufit. Widocznie rozmyślał nad wytworzoną sytuacją. „Teraz się prześpisz — rzekł w końcu do mnie, — ja tymczasem pojedę na miasto. Muszę się rozpatrzeć, co porabiają te frajerskie paly. Po obiedzie zrobimy jeszcze parę zdjęć. Więc do!”

Byłam zadowolona, kiedy wreszcie poszedł. Zaścieliłam tapczan, ale się nie ubierałam. Po co? Za dwie lub trzy godziny zacznie się nowa seria zdjęć, a wyspać się lepiej bez ubrania. Położyłam się z przyjemnością na tapczanie. Załedwie przyłożyłam głowę do poduszki, a już usnęłam. Zapadłam natychmiast w głęboki sen. Jak długo spałam, nie wiem. Wydawało mi się, że załedwie parę minut. Obudził mnie ostry głos dzwonka u drzwi wejściowych. Pomyślałam sobie, że może Długi już wraca. Wyskoczyłam z tapczana i otworzyłam zatrask. Byłam półprzytomna. Nie lubię, kiedy mnie nagłe ktoś budzi. Matka zawsze miała ze mną kłopoty. Wprawdzie natychmiast wstaje, ale uplynie parę minut,

zanim oprzytomnieję. I nie pomoże w tym wypadku żaden prysznic, chociażbym wiadro wody wylała na głowę. Po prostu, jak mówią, żółtko musi się odleżeć. Więc i teraz nie zdawałam sobie sprawy, komu otworzyłam. Dopiero po chwili stwierdziłam, że mam przed sobą tę samą dziewczynę, z którą zetknęłam się rano. Chciałam jej zagrozić drogę i zamknąć drzwi, ale mnie odepchnęła i weszła do środka. Stałam więc przed nią nagusienka, jak mnie Bozia stworzyła. Jak pragnę zdrowia, nie była to dla mnie korzystna sytuacja. Zona Długiego oglądała mnie, jak się ogląda towar na rynku. Czuliśmy się bardzo głupio. Tak głupio, że nie może pan sobie wyobrazić. Wyciągnęła rękę po szlafrok Długiego, ale ta źle zrozumiała mój gest i chwyciła mnie za lokcie. „Tyko bez awantur, ty szmato!” — wolała do mnie. Zaczęła wypluwać wyzwiska z taką szybkością, że nie mogłam jej zrozumieć. Wzburzona chodziła tam i z powrotem po pokoju, przedstawiała rzeczy, otwierała szafę i zaczęła wyrzucać bieliznę Długiego na środek pokoju. Dyszała ciężko, powtarzając na przemian przekleństwa, to znów odwoływała się do Boga: „O Boże! Ależ świństwo! Ależ draństwo! Prosty-tutki! Ty szmato! Ty złodziejko!” Rozzłościły mnie wreszcie jej krzyki i przekleństwa. Usiadłam na krześle i obserwowałam ją, jak się rzuciła po mieszkaniu. Nic sobie z niej nie robiłam. Później przyszło mi do głowy, żeby się z nią podrażnić. Za te przewiski, którymi mnie obdarzyła. Cóż to, zawiłam jej w czym, odebrałam jej męża, skrzywdziłam dziecko?

„Boże święty, co ty wypra-

wiasz, kobieto! Co ci do głowy przyszło! Gdybym chciała, to by dziesięciu takich, jak twój Długi stało w kolejce do mnie. Coś ty, chora? Cierpisz na rozmiękczenie mózgu? Co bredzisz o złodziejstwie? Cóż to? Możesz się równać ze mną? Zobacz, jak jestem zbudowana. Dalejże! Rozbie-raj się. Niech nas Długi fotografuje”. I tak dalej mówiłam w tym sosie. Nie byłam już teraz ani śpiąca, ani zmęczona. A dlaczego miałabym się źle czuć? Po diabla tu przyszła? Czemu na mnie wymyślała? Żeby pan zobaczył teraz jej gębę! Aż wreszcie, gdy ni stąd ni zowąd zaczęłam się śmiać jak szalona, tamta jakby oprzytomniała. „A niech to diabli! — zawołała — Trzy lata temu ja sama występowałam w tej roli, co ty obecnie. — Popatrzyla na mnie — Nic dziwnego, że ci to uderzyło do głowy. Ja również byłam zaczadzona. Zaczęło się od zdjęć. Ani mnie tknął wtedy. Potem zaproponował małżeństwo. Przyszło dziecko. Zaczął zdradzać. Ach! Pomyliłam cię z inną. Myślałam, że to ta jego paserka. On ma z nią romans. A to nowa modelka”. Uderzyło mnie to, co mówiła. Znowu się zdenerwowałam. „Po diabla żeś tu przyszła?” — zapytałam. Nagle zrobiło mi się zimno. Okryłam się szlafrokiem Długiego. „Nie mam forsę — powiedziała. — Przysądzone mam alimenty, a on nie płaci”. „Dlaczego z nim nie mieszkasz?” „Mam rozwód i mam go w de!” Popatrzala po tym balaganie, który sama narobiła, kopnęła jakąś koszulę, spojrzala na mnie i wyszła.

Ale rozrabi! Słowo daję, lepszej nie potrzeba. Niech pan teraz osądzi, czy mogłam się nie denerwować. Zona Długiego, a właściwie była

żona, wzięła mnie za jego obiłą kochankę, jakąś tam paserkę. Ciekawa byłam, co na to wszystko powie Długi. Rozzejrzałam się po mieszkaniu. Nie powiem, żeby tu był porządek. Zabrałam się do sprzątanja pokoju, bieliznę ułożyła w szafie. Żeby znowu na mnie nie padło jakie podejrzenie! Ale w czasie porządkowania z szafy wypadła koperta. Zajrzałam do środka i gwizdnęłam. Rany Julek! Same pięciodolarówki. Po raz pierwszy w życiu miałam w ręku dolary. Zgrabny, zielonkawaty papierek z portretem brodatego Lincolna i napisem: „The United States of America”. Cztery piątki wyrysowane po rogach. „Five dollars”. Miałam wielką ochotę choćby na jeden taki papierek. Ile za to można by mieć? Jak pan sądzi? Chyba około pięciuset złotych? Mniej? No, nie wiem. A gdyby tak świsnąć dwa papierki? Czy miałam ochotę na te dolary? O tak, wielką. Ogramnie mnie korekło, żeby schować. Ale bałam się okropnie. Długi z pewnością zliczyłby i zapisał. Dałby mi lupnia, gdyby stwierdził brak chociaż jednego dolara. Bo ja wiem, skąd on wytrzasnął tyle waluty? Przysłał mu je ktoś z zagranicy, czy też handluje po cichu? Nie wiem, proszę pana, co o tym sądzić. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli wszystko położę tak, jak było. No, ale o wizycie jego żony milczeć przecież nie będę. „Wiesz co Magda? —

Dalszy ciąg na str. 10

odgłosy str. 9

Every morning I go to the University. In order to be at the lectures in time I come to the University some minutes before nine. The lectures begin at nine sharp. As I live far from the University I take the bus, I leave at eight and go to the bus stop.

In the street I see very many people. Some people go to their work; students go to their Institutes. Children run to their schools.

I see many trams and cars in the street. At the stop I see some people. They generally stand in a line and wait for the bus. The bus comes every three minutes. I stand in a line too.

Some people come here every day. Every day I see the same people at the same time. That young woman with a little girl in her arms works at a cotton mill. Every morning she takes the girl to the nursery and leaves her there for the day. That young worker works at a cotton mill too. He works in the daytime, in the evening he



DER ARME UND DER REICHE

In einer Stadt lebte einmal ein reicher Mann. Eines Tages kam zu ihm ein armer Mann:

— Na, mein guter Freund, was wollten Sie von mir?

— Ich will es Ihnen sagen, aber sind wir hier allein?

— Ja, — sagte der reiche Mann.

— Nun, da sagen Sie mir, was zahlen Sie für ein Stück Gold, wenn es wie ein Katzenkopf gross ist?

Der reiche Mann dachte: „Dieser muss ein reicher Mann sein“.

Sie gingen ins Zimmer des reichen Mannes. Seine Frau stellte auf den Tisch etwas zu essen und zu trinken. Der Arme ass und trank mit grossem Appetit. Er sprach aber nicht vom Gold.

Der Reiche sagte zu seiner Frau:

— Gib uns doch etwas zu essen und zu trinken. Bring uns den grossen Schinken aus der Küche.

Dem armen Mann schmeckte der Schinken sehr gut. Er ass und ass. Er trank und trank. Endlich fragte der Reiche:

— Wollten Sie das Stück Gold verkaufen?

— Was kostet so ein Stück? Wollten Sie es mir sagen? — fragte der Arme.

— Zehntausend Mark, weil es so gross ist.

— Gut, dass ich es weiss. Ich bringe Ihnen dieses Stück Gold, wenn ich es finde, — sagte der Arme.

— Auf Wiedersehen, — sagte er noch und ging auf die Strasse.

Der Kellner brachte die Speisekarte und ich sagte:

— Bitte zweimal Schnitzel mit Kartoffeln und Salat.

— Und?... — fragte der Kellner.

— Und eine Flasche Rotwein.

Das Essen schmeckte uns sehr. Die Küche des Restaurants war sehr gut.

Der Kellner kam wieder. Ich sagte:

— Bitte noch eine Apfelforte und zweimal Kaffee.

Die Musik spielte die ganze Zeit.

— Darf ich bitten? — fragte ich Ursula und wir gingen tanzen.

— Ich bin so froh, dass du wieder gesund bist, — sagte Ursula.

— Ende gut, alles gut, — antwortete ich.



A jednak taniec wkroczył na mały ekran!

Tak długo, wytrwale i — chciałoby się rzec — namiętnie, pisaliśmy o atrakcyjności małych form tanecznych na telewizyjnym ekranie, że kiedy postulat przyobiekty się nareszcie wcielił (mniejsza już z tym, czy była tu w ogóle jakakolwiek nasza zasługa), odnotowujemy ten fakt z prawdziwą i nieklamną przyjemnością.

Taniec — a więc uporządkowany ruch — wkrocza zwycięsko na mały ekran, widzimy go coraz to więcej i w coraz to lepszych, ciekawszych, bardziej telewizyjnych układach. Przypomnijmy chociażby bardzo dobrą i godną chyba powtórzeń audycję poświęconą melodiom Gershwina, przypomnijmy jeden z ostatnich programów rozrywkowych, zatytułowany „Karuzel nad Szpewą”, którego stronę choreograficzną przygotowała Ruth Sorel.

nad Szpewą” większość tańców odbywała się na jakiejś pseudo-estradzie i — co za tym idzie — pokazywana była poprzez głowy i barki siedzących w piwiarni gości. Z konieczności (tylko centralne przejście było wolne) operatorzy zadowolili się zwozonymi i oddalonymi planami; chodziło niby o taniec, ale taniec został w głębi, w tle.

To chyba nie było najszybsze, a jeżeli reżyser chciał już koniecznie pokazać „klimat piwiarni”, to powinien pomyśleć o zbliżeniach, najazdach kamer i tak dalej. Niestety — nie pomyślał.

W rezultacie znaczna część ciekawych układów (z wyjątkiem może „tańca wscłodniego”, w którym ładnie ograna została beczka rodem z Ali Baby) została najzubożniej zmarnowana telewizyjnie: a tak się chyba nie godzi, bo to i pieniądze szkoda i tak dalej.

Zas na marginesie — najmniej uwagi na Terpsychorę zwraca, jak dotąd, studio łódzkie. Czyżbyśmy wołali tak głośno, że mili koledzy z sąsiedztwa aż ogłuchli od tego krzyku?



Alina Janowska i Wojciech Siemion zajęli wysokie miejsca w plebiscycie „Złotej maski”. I mimo że „Oskarżonych” transmitowała swego czasu telewizja, to jednak w czasie ostatnich występów w Łodzi popularni aktorzy mieli na sali tak zwany nadkomplet. Więc jednak — okazuje się — telewizja nie jest tak szalenie groźna dla dobrego teatru...

PLONY KONKURSU

Jak wiadomo, w zorganizowanym przez Komitet do Spraw Radia i Telewizji konkursie na słuchowisko radiowe, bądź widowsko-telewizyjne z okazji XX rocznicy PPR, zwyciężyli STANISŁAW GROCHOWIAK i JANUSZ KRASIŃSKI oraz ANDRZEJ WYDRZYŃSKI.

Włodzimierz Sokorski, omawiając wyniki konkursu z punktu widzenia jednego z jurorów, stwierdził, że dorobkiem jego jest w każdym razie co najmniej 5 sztuk dla telewizji i 8-10 słuchowisk dla radia. A więc doprawdy niemało. Pozostałoby tylko czekać na premiery i na ostateczny sprawdzian wartości sztuk przed publicznością.

ŁÓDŹ NIE ODKRYTA W TV

Dlaczego tak trudno dziennikarzom z prasy uplasować się w telewizji? No — bo telewizja rządzi się innymi prawami i to na obu „etapach” produkcyjnego cyklu: w okresie przygotowania audycji i w samym momencie oddziaływania na odbiorcę. Stąd — nie za wiele dobrych nazwisk publicystów z prasy i codziennej, i periodycznej możemy spotkać w programach telewizyjnych.

Bo zwłaszcza publicystyka wymaga od dziennikarza wyjątkowej telewizyjności, aby mogła być wartościowym dziełem na szklanym ekranie, a nie tylko mniej czy więcej poprawnym powieleniem dziennikarskiego artykułu. Na tym też chciałbym zwrócić uwagę na pewien moment szczególnie aktualny w Łodzi: prasa łódzka, jak wiadomo, nie ma zbyt wiele miejsca na szersze opracowania interesujących tematów lokalnych, stąd też — wiele tematów naprawdę ciekawych w ogóle nie może ujrzeć światła dziennego.

Wiele tematów nie dotrze też do odbiorcy, jeśli nie opracuje się ich dla telewizji — jedynego czasem instrumentu oddziaływania, który z tymi tematami mógłby sobie poradzić. Wydaje mi się również, że łódzianie mieliby również dużo do powiedzenia na ogólnopolskiej fal TV, że przecież faktem jest i to: Łódź ze swą problematyką w dalszym ciągu jest miastem nie odkrytym i nieznanym dla telewizji.

Oczywiście nie chodzi mi o tego rodzaju wykorzystywanie tematyki związanej z regionem, jak np. ostatnia audycja z Katowic, która mogłaby być interesująca dla tzw. masowego telewizji, gdyby była... interesująca podana. Ale jeśli ponad pół godziny mówiono (choć bardzo uczenie i zawile) o... spawaniu metali, o ogrzewaniu pomieszczeń produkcyjnych, o mostach itp. załączając całą masę szczegółów żywcem pasujących do skryptów studenckich na Politechnice — to darujcie! — co drugi telewizor, który dał się nabrać na tę audycję (z dnia 19 ub. m.) będzie wylaczał aparat, gdy tylko usłyszy zapowiedź „Łączymy się z Katowicami”.

A to jest zło, bo telewizor na dźwięk tej zapowiedzi ma prawo dowiedzieć się ciekawych rzeczy o naszym największym okręgu przemysłowym, stąd wniosek — telewizja nie wolno zrażać. Nie zrażając również telewizji w skali kraju do Łodzi warto może przystąpić do realizacji jakiegoś „programu minimum” naszych łódzkich publicystycznych możliwości.

Cała Polska na przykład z zainteresowaniem obejrzy ciekawe procesy końcowe z produkcji niektórych tkanin (30 mln ludzi chodzi przecież w jakichś tkaninach), cała Polska chyba chętnie zobaczyłaby reportaż z Zubardzia wmontowany w audycję publicystyczną na temat eksperymentalnych metod wznoszenia nowych osiedli (na wzór Zubardzia, jak słyszałem niedawno z autorytatywnych ust, budują już obecnie również na Śląsku i w Warszawie), cała Polska z ciekawością obejrzałaby film ilustrujący proces odmładzania się Łodzi w okresie ostatnich kilku lat...

Jest zresztą wiele tematów związanych z nieznanymi w skali kraju osiągnięciami łódzkiego środowiska naukowego, tak samo dysponujemy wieloma możliwościami „odkrycia” Łodzi w ogóle — jako ciekawego ośrodka miejskiego i przemysłowego. Warto przystąpić do ich opracowania.

FELIKS BABÓL

P. S. Coś jednak ruszyło się i na tym odcinku — mieliśmy już bowiem drugi magazyn poświęcony Ziemi Łódzkiej zatytułowany „W sercu Polski”. — Niestety — nie najlepszy.

„Co za szczęście żyć w XX wieku”. Paryski tygodnik „Paris-Match” zamieścił cykl rysunków Aldeberta pod takim właśnie tytułem. Podpis pod ponizszym rysunkiem brzmi:

Bez kina i telewizji człowiek pierwotny miał tylko te rozrywki, którymi darzyła go natura.



TELEWIZJA

TEATR POPULARNY wystartował „Ojcem Goriot”

Tak to już jest, że wszelkiego rodzaju adaptacje — szczególnie adaptacje utworów szeroko znanych — przestawiają z reguły wrażenie niedosytu. Nie warto chyba wracać do spraw dawno przelutych, ale przypomnijmy sobie chociażby osmiętną dyskusję, jaka toczyła się po przeniesieniu na festralne sceny powieści Bolesława Prusa — „Lalki”. „Emscypercie!” — i towarzyszące temu opory czy nawet pretensje.

Podobnie może przydarzyć się w wypadku Balzaca, aczkolwiek bowiem „Ojciec Goriot” traktowany w oderwaniu od powieści, traktowany po prostu jako widowisko nieznanego autora — mógł być przykładem dobrej, rzetelnej roboty reżyserskiej, przykładem spektaklu niosącego w sobie bez najmniejszego pudła solidny kęs szeregowego wzruszenia; to jednak dawał on dość luźne, dość ogólnikowe wyobrażenie o książce. Oczywiście tak musiało być i w tym co powiedziałem, żadna się do adaptatora nie zawiera pretensja.

Pytanie jednak czy teatr przeznaczony dla najszerszego widza — a więc także widza nie znającego podstawowych dzieł dramatu czy prozy — może i powinien prowadzić się do pewnej ilustracji, trochę nawet — w jakimś ogromnym uduchysłowie — do bryku?

Rzecz jasna, skrajnie upraszczam, chodzi mi jednak o bardzo dokładne umieszczenie znaku zapytania, może to bowiem być dla nas pożyteczne w przyszłości. Mianowicie: czy Teatr Popularny TV ma ilustrować wybitne dzieła dramatu i prozy, z dyskretną sugestią, aby czytelnicy sięgnęli po oryginał, czy też ma przerosnąć na mały ekran w formie artystycznej możliwie pełnej i skończony tylko te utwory, które się po temu w pełni nadają?

Jerzy Antczak — główny re-

żyser LOT — zapytany, dlaczego właśnie „Ojciec Goriot” i dlaczego adaptacja, odpowiada na łamach „Radia i Telewizji”.

— Czemuż by nie? Wobec powieści jesteśmy mniej skrupulowani, możemy bardziej dowolnie kształtować materiał, a przy inscenizacji nie ciąży nad nami tradycja teatralna.

Po czym — już jako realizator — zapowiada ze swej strony „Selekcji chwali” H. Cobba, „Kapitana Froasse” T. Gautier, „Trzydzięty” A. Seghers, „Nadzieję” Heijermansa, „Kordiana i chamsa” Kruczkowskiego, wreszcie „Pożegnania” Dygata.

A więc coś zupełnie innego, niż postulował na łamach „Radia i Telewizji” Adam Ostrowski i Roman Szydłowski, coś odmiennego od przyjętej powszechnie oczekiwań. Może to oczywiście i tenże wybór, ale za wcześniej o tym sądzić po pierwszym spektaklu.

J.P.

LOT — „Ojciec Goriot” H. BALZACA — adaptacja: Edward SZUSTER — reżyseria: JERZY ANTCAK — scenografia: JERZY MASŁOWSKI — w rolach głównych, bardzo zresztą udanych, wystąpił STANISŁAW ŁAPINSKI (Ojciec Goriot), MICHAŁ PAWLICKI (de Rastignac) i IGNACY MACHOWSKI (Vautrin).

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 5. IV. 62 R.

11.00 Program dla szkół (dla kl. V). Historia „W cieniu zamków i katedr” (W). 11.20 Przerwa. 11.20 Program dnia (L. lok.). 11.25 Program dla dzieci: 1) „Miś z okienka”. 2) Film krótkometrażowy: „Ala ma kota” produkcja polskiej (W). 11.55 Program z cyklu: „O wsi dla wszystkich” (Łódź ogólnop.). 12.30 Recital śpiewaczy Peter Glossop — baryton (Anglia) (W). 12.55 „Dzieci Oświęcimia” — program publicystyczny M. Marzyńskiego i Eugeniusza Paucha (W). 13.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Film krótkometrażowy prod. węgierskiej „Suiita tanczna” (W). 20.20 PKF (W). 20.35 Teatr „Kobra” — „Hyx i Pindico” Male Turkoy. Reżyseria Jerzy Hoffman (W). 21.40 „Eksperymenty wychowawcze” St. Manturzewski (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 6. IV. 62 R.

16.45 Program dnia i tygodnia (L. lok.). 17.00 Program tygodnia ogólnopolski (W). 17.20 „Spożyczenia i opinie” — magazyn (L. lok.). 17.30 „Znak Zorro” — ostatni odcinek filmu produkcji USA (W). 18.20 Recital piosenek w wyk. Marty Stobnickiej — program rozrywkowy (Katowice). 18.55 Wszelchnia TV: „Halo! mówi się” — program z cyklu: „Świat się kurczy” (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Eurydyka” — sztuka Jean Anouilha. Transmisja z Państw. Teatru Powszechnego w Warszawie (W). 22.35 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 7. IV. 62 R.

11.00 Program dla szkół: (dla kl. VI). Geografia. Cykl: „Poznaj swój kraj”. Temat: „Nad morzem” (W). 11.30 Przerwa. 16.10 Program dnia (L. lok.). 16.15 „W środku Polski” (L. lok.). 16.45 „Papierowe Żurawie” — film fab. prod. Japońskiej (dozw. od lat 10) (W). 17.30 Program dla dzieci: 1. „A co dalej?”. 2. „Konkurs 5 milionów”. „Wyprytkać”, co nie znaczy oczywiście, aby już za miesiąc nie miało być grubo lepiej. Stąd — odnotowując program niezbyt udany, mimo, powiedzmy, ładnego pomysłu z Irena Dziedzic — nie ciskałbym przesadnych gromów na audycję, która, wydaje się, zdobyła już sobie i rangę, i trwałe miejsce w programie.

Dla porządku przypominamy, że obok LUCJANA KYDRYŃSKIEGO i IRENY DZIEDZIC, w programie wzięli udział: KALINA JEPRUSIK, SŁAWA PRZYBYLSKA, IRENA SANTOR, BOGUSŁAW WYROBEK, zespół orkiestralny i taneczny. Autorzy tekstów: TADEUSZ DOBRZYŃSKI, ANDRZEJ DOŁĘGOWSKI, WŁADYSŁAW RZESZEWSKI i EDWARD SZUSTER. Reżyseria: JANUSZ RZESZEWSKI.

odgłosu str. 11

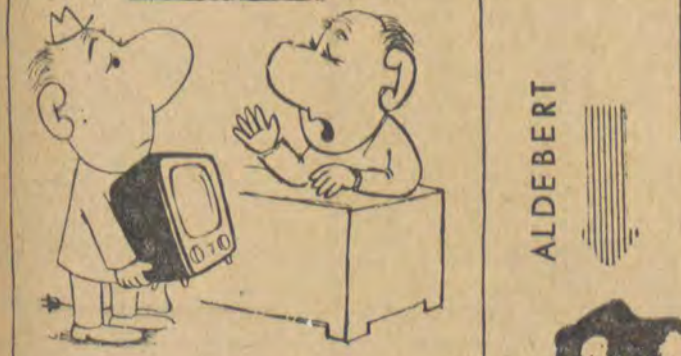


DZIĘKUJEMY

Silnie dziękujemy telewizji, że matka na małym ekranie widzi nie tylko wreszcie przekonać i zająć równo filmy, jak i widowiska teatralne Konstantego Puzyńskiego, ale także krótkimi, i tak właśnie trzeba, co za tym idzie — prosimy nie rezygnować, ostatecznym widowiskiem Dürren-

NA EKRAPIE KAZIA MOZOLEWSKIEGO

NAPRAWA TELEWIZORÓW



— PRZYKRO MI ALE NIESTETY NIE POTRAFIMY NICZEGO TAKIEGO PRZYKREĆ ZEBY BYŁ LEPSZY PROGRAM!

WOZOLEWSKI

ALDEBERT

ALDEBERT

DZIWIWA HISTORIA

Do Wojewódzkiego Zarządu Pracowniczych Ogrodów Działkowych w Łodzi wpłynął list od pracowników ZPB im. Armii Ludowej. Robotnicy prosili o pozwolenie dalszego użytkowania dzierżawionych od 1946 roku ogródków działkowych. Podpisały 32 osoby. Pracownicy biura WZPOD mieli prawo zdziwić się. W ich posiadaniu znajdował się bowiem list od ZPB im. Armii Ludowej z wcześniejszą datą 12.XII.61 r., w którym napisano: „Działkowicze postanowili zrezygnować z dalszego użytkowania ogrodów, o czym niezwłocznie zawiadamiamy”. Podpisał przewodniczący i sekretarz rady zakładowej. Drugie pismo dodatkowo podpisane jeszcze przez zastępcę dyrektora administracyjnego zakładów z dnia 17.I. br. donosiło: „Poviadamy, że ze względu na złą strukturę gleby zrzekamy się zajmowanego dotychczas terenu przy ul. Świętojańskiej częściowo wykorzystanego na ogrody działkowe”.

W 3 dni potem, a było to w dniu Święta Kobiet w Wojewódzkiej Komisji Zw. Zawodowych zjawia się delegacja robotnic Zakładów im. Armii Ludowej. Kobiety błagały, aby nie odbierać im działek.

Niedawno bo 12 bm. Wojewódzki Zarząd Pracowniczych Ogrodów Działkowych zwołał zebranie w Zakładach im. Armii Ludowej, poświęcone sprawie ogrodów działkowych. Chodziło o ustalenie czy rzeczywiście robotnicy nie chcą działek. Okazało się, wręcz coś odwrotnego. To prawda, że przez ostatnie lata zmniejsza się ilość działek i osób korzystających z ogródków ze 130 na 74. Przede wszystkim dlatego, że zakłady absolutnie nie pomyślały o ogrodzeniu terenu, stąd hydro- i okolicznych mieszkańców niszczyło ogródki. Z czasem zaczęły tu nawet przyjeżdżać dżepy, z których zrzucano śmieci. Gdyby teren był ogrodzony — powiedział jeden z robotników, to nasi ludzie biliby się o działki. Nikt też nie pomyślał o zabezpieczeniu kanału, który tu przepływa i często zalewa uprawy.

Założa ZPB im. Armii Ludowej liczy 4 tys. osób. Chętnych na dzierżawienie działek jest mnóstwo. Najlepszy dowód, że kiedy w 1956 roku o część terenu ubiegala się Komenda MO na ogródki dla funkcjonariuszy i ich rodzin zakłady nie zgodziły się zrezygnować choćby z kawałka ziemi.

W tej chwili ogród ma nowy zarząd. Użytkownicy przygotowują się do nowego sezonu i marzą o tym, aby ogród wreszcie ogrodzono i zagospodarowano. Niestety niewiele jest szans na to. Dyrektor Zakładów (dopiero na ostatniej naradzie dowiedział się o istnieniu ogrodu) przyrzekł pomoc. Tylko skąd wziąć pieniądze, kiedy wydatki nie znalazły się w planie?

ODGŁOSY

tygodnia

W STRACHU PRZED CHEMIĄ

Chemię podziwiamy, na chemię liczymy, niemniej chemii się boimy. Ci, którzy pracują w zakładach chemicznych różnego typu, wiedzą dobrze, co chemia może zrobić dla człowieka, ale i z człowieka. Dlatego trzeba uważać...

W strachu przed chemią opracowano nowy typ ubrań ochronnych. Specjalną tkaninę sprokurował łódzki Instytut Włókien Sztucznych i Syntetycznych. Wzory bezpiecznego odzienia obmyślił natomiast warszawski Instytut Wzornictwa Przemysłowego.

Ubrania, które w założeniu mają stanowić swoisty mur obronny i odparować ataki szkodliwych związków są: KWA-SOODPORNE — a więc bezpieczne. LEKKIE — a więc wygodne i przyjemne w użyciu. ESTETYCZNE — a więc przyjemne dla oka. Dotychczas używane odznaczały się przeciwnymi cechami: nasiąkały kwasami, są ciężkie, niezgrabne i brzydkie. Ponadto spełniają — jako tako, swoje zadanie jedynie przez trzy miesiące. Te nowe natomiast mają być — podobno trwale. Można je będzie nosić i to z przyjemnością około roku. Ta cenna dla państwowej kleszeniucha, niechże przede wszystkim finansistów. Ubrania ochronne nowego typu mają być nieomal „od zaraz” wprowadzone do całego przemysłu chemicznego, a w pierwszym rzędzie do zakładów włókien sztucznych. Ich twórcy myślą także o tym, aby dostosować ubranie do każdego stanowiska roboczego i produkować je w różnych kolorach.

Bardzo nas to cieszy. Przy okazji chcemy tylko prosić „specjalistów od przepisów”, o elastyczność przy ustalaniu przepisów określających okres użytkowania. Z obserwacji innego przemysłu — bawelnianego, wiemy bowiem, że niezręcznie toż, chodzą np. w połowie spodni. Przenisły przewidują 6 lub 9 miesięcy „noszenia”, spodnie niszczą się wbrew przepisom — szybciej. Zdarzają się także ubraniowe wypadki jak rozzerwanie, nadpalenie itp. Wtedy pisze się pisma, czekając na pozytywną odpowiedź z gołym siedzeniem.

NA WŁASNEJ SKÓRZE

Żyje w Łodzi poważna grupa cichych bohaterów, o których mało kto wie. Ludzie ci na własnej skórze sprawdzają wyniki swoich lub kolegów prac naukowo-badawczych, a nieraz — co gorsza — na własnej skórze do tych wyników dochodzą. Są to pracownicy niektórych Instytutów.

Tak na przykład ci z Instytutu zajmującego się medycyną pracy, sami się „klują”, sami „podtruwają”, oddychają różnymi szkodliwymi dla zdrowia wyziewami, aby sprawdzić jak określone warunki wpływają na zdrowie człowieka i czy środki zapobiegawcze które obmyślają są skuteczne, czy nie.

Inny charakter mają próby w Instytutach zajmujących się badaniem różnego rodzaju włókien. Aby określić: wartość użytkową wyrobu — wytrzymałość na ścieranie, przecieranie itp. wartość reprezentacyjną — odporność na męczenie, brud, właściwości zachowywania kształtu i wartość fizjologiczną — ciepłochronność, odporność na pot itp., trzeba się w dany wyrób ubrać i go nosić.

Pół biedy, kiedy chodzi np. o futra z włókna sztucznego, lub o garnitury z elany. Gorzej gdy rzecz dotyczy sukien i swetrów. A zupełnie fatalnie, kiedy trzeba sprawdzić rajtuzy i... reformy. Niemniej w jednym z Instytutów bada-

nia użytkowe artykułów z włókien polipropylenowych osiągnęły po kilkaset godzin noszenia. Suknie — z dzianiny i tkaniny w kolorach: czarny, oliwkowy, fioletowy, niebieski, brązowy — od 100 do 200 godzin; swetry damskie nie barwione (modne!), aż 600 godzin, a męskie czarne 400 godzin; Rajtuzy szare elastikowe — 100, swetry dziecięce elastikowe niebieskie i czerwone — 400, a... reformy szare — 200 godzin.

Mężczyźni na ogół łatwiej znoszą naukowe próby. — Znamy takich co od dwu lat nieomal bez przerwy chodzą w badanych garniturach elastycznych i, przy każdej, możliwej okazji się tym chwala. Kobiety jednak są w gorszej sytuacji, często się buntują i nie chcą chodzić miesiacami w tej samej; spodnie, sukni czy swetrze. Tym bardziej, jeśli kryterium walorów badanych wyrobów. Do niej się poświęca. — Raz w tygodniu każdy użytkownik daje to co musi do sprawdzenia. Suma punktów i karnych i „pusów” jest podstawą oceny jakości.

Na własnej skórze — i to całej, trzeba sprawdzić jakość tego co się chce zaproponować przemysłowi... Trudno, (uhaha).

WIERSZ NA GOLONKĘ

W początkach zanego XX wieku, współpracownicy pism warszawskich, dziennikarze i literaci otrzymywali:

- Za krótkie fraszki — po 3 grosze od wiersza;
- Za dłuższe wiersze — po 2 grosze od wiersza;
- Za długie felietony, nowele, a nawet poematy — po 1 groszu od wiersza;
- Za podpis pod rysunki — po 20 groszy od sztuki;
- Za dowcip z tematem dla rysownika — 1 złoty.

„Się nabywcza” ośmiowierszowej fraszki (24 grosze czyli 12 kopiejek) można było przeliczyć na paczkę lepszych papierosów. Za wierszyk z czterech strof można było zjeść jakieś skromne danie np. sztukę mięsa lub... golonkę. Za felieton można było dać buty do podzelowania, a za podpis

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobyliński

PODKARPACCY GENIUSZE

Po polskich drogach kursuje obecnie prawie 500 tysięcy motocykli. Pokazną z tego ilość stanowią popularne 125-ki, duma naszego przemysłu motoryzacyjnego. Aby jednak taki wehikuł mógł się poruszać, obok szeregu części, musi mieć ogumienie. Od czasu wynalazku pneumatyków przez mr. Dunlopa, taka opona ma wewnątrz dętkę, która znów ma to do siebie, iż się przeciera, jest czuła na zwoździe i inne ostre przedmioty. Słowem niszczy się szybciej niż opona, no... cacy motocykli.

Problem sprowadza się do zagadnienia: — są motocykle? — są; — są opony? — są; — są dętki 300-12? — nie ma! I to nie od dziś. Dopóki handel brał opony z dętkami w kompletach, dętki były w sklepach. Gdy w magazynach „Motozbytu” zgromadziły się pokładne zapasy samych opon, których zbyt w stosunku do dętek przedstawia się jak 1:8, handel zażądał samych dętek. Ale nie z tego. Przemysł nie w ciemni bity; albo bierziesz opony z dętkami, albo... figa.

Zakłady Przemysłu Gumowego „Degum” w Dębicy koło Tarnowa, monopolista w dziedzinie produkcji ogumienia motocyklowego, w przystępie szczeroci zwieryły się „Expressowi Ilustrowanemu” (nr 58 z 10. 3. 1962):

— „Proponujemy naszym odbiorcom nabywanie dętek wraz z oponami. Ale oni nie chcą opon, tylko same dętki. A co my mamy robić z oponami? Mamy je układać w stosy? Sprzedajemy je więc bezpośrednio kooperantom — wytwórciom motocykli WSK i WFM. Gdyby łódzki „Motozbyt” zdecydował się na kupno dętek wraz z oponami, możemy natychmiast dostarczyć choćby 10 tysięcy takich kompletów”.

Otóż to. Opatentujemy co rychlej „wynalazek” Zakładów w Dębicy. Bo co będzie, gdy tę genialną myśl podejmą inne zakłady przemysłowe? Aż strach pomyśleć!

MIŁOŚĆ, MIŁOŚĆ I TYLKO MIŁOŚĆ

Wiele znaków na niebie i ziemi (nie mówiąc o solidnych studiach socjologicznych) wskazuje na ewolucję charakteru instytucji małżeństwa w naszym kraju. Dawniej było ono przede wszystkim wspólnotą majątkową. Zawartemu tego związku towarzyszyło nader często (zarówno na wsi jak i w sferach mieszczańskich) przekazywanie i podpisywanie tzw. interczy, czyli przedślubnej umowy majątkowej nowożeńców. W akcie tym dokumentowano, co wnosi ona a co od stać, co pozostaje jej wyłączną własnością (np. kamieniczka zapisana do ksiąg wieczystych), a co jego. Oczywiście interczy należały głównie do obyczajowy ludźli i w. Interesu i stanowiły zabezpieczenie np. jej na wypadek, gdyby on spałtował. Dawne to czasy. Wraz z kapitalizacją i interesami wychodzą z obiegu interczy. Współczesne małżeństwo nie straciło, rzecz jasna, cech wspólnoty ekonomicznej (można powiedzieć, że jest wspólnotą pensji i dorobku na raty). Jeżeli uprzytomnimy sobie, że w mieście Łodzi wśród 700 tysięcy mieszkańców zawarto w roku 1955 tylko dwie interczy, a w roku 1961 — 10, przy czym w innych latach liczba ich nie przekroczyła nigdy 20 — to poza pytaniem „Czy będziemy mieli wyższe pensje?” do współczesnych nowożeńców pasuje jak ulał stary slogan, zaczynający się od słów: „Miłość, miłość i tylko miłość”...

DWÓCH TAJEMNICZYCH BIBLIOFILÓW

Mi tu gadu-gadu o czytelnictwie i kłopotach z takowym, a tymczasem — z dużym zresztą opóźnieniem — dowiedzieliśmy się, że mamy w Łodzi przynajmniej dwóch zapalnych, namiętnych i nieskazitelnych w swojej miłości do książek bibliofilów — amatorów.

Oni to — jeden w czapce studenckiej i drugi w wojskowym szyneli — obeszli w parę dni po Wszystkich Świętych ulicę Lagiewnicką, obeszli, gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia, Zubardź i opowiadając rozmaite dyrdymały o rozmaitych loterjach, wyłudziły od świętych w swojej naiwności obywateli miasta Łodzi pewną ilość beletrystycznych i nie tylko beletrystycznych książek.

Widząc niejaką zbieżność między świętami kościelnymi, a bibliofilską działalnością wspomnianych osobników, możemy domniemywać, że szczególną aktywność okazały one ponownie koło Wielkiejnocy — prosimy tedy mieszkańców miasta Łodzi o wcześniejsze przygotowanie stosownych darów (może być Kodeks Karny).

Redaguje Zespół • Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 243-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 4 zł. • Redakcja nie zamawia rekonesansów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17 • Zam. 1036 IV • A 6